

Suchydół



IWAN BUNIN

Suchydół

TŁUM. ZOFIA PETERSOWA

I

Przywiązanie Natalii do Suchegodołu wprawiało nas zawsze w zdumienie.

Natalia była mleczną siostrą naszego ojca, która wychowała się z nim razem w jednym domu, a u nas, w Łuniewie, przeżyła całe osiem lat, traktowana jak krewna, a nie jak prosta służąca, dawna dziewczka pańszczyźniana. Wciągu tych ośmiu lat, według jej własnych słów, odpoczywała po Suchymdole, po tym, co tam przecierpiała. Lecz nie darmo mówi przysłowie, że natura ciągnie wilka do lasu. Gdy nas wyniańczyła i wykarmiła, Natalia znowu powróciła do Suchegodołu.

Pamiętam jeszcze urywki naszych dziecinnych rozmów:

— Przecież ty jesteś sierota, Natalio, prawda?

— Tak, sierota. Zupełnie tak samo jak i moje państwo. Babcia wasza, Anna Grigoriewna, bardzo wcześnie umarła! Żyła tak długo jak moja matka i mój ojciec.

— Na co oni umarli?

— Śmierć przyszła, to i pomarli!

— Ale dlaczego tak wcześnie umarli?

— Boska wola. Państwo oddali mojego ojca za karę do wojska, a matka umarła przez pańskie indyczki. Ja tam, naturalnie, nie pamiętam tego, ale tak mówili na folwarku: matka miała dozór nad drobiem, no i chowała całe masy indyczek. Kiedyś na wygonie złapał je grad i wybił do ostatniej... A matka jak nie pobiegnie, jak ich nie dopadnie... Popatrzyła, no i ducha oddała.

— A dlaczego ty za męża nie poszła?

— Ot, narzeczony jeszcze nie podrośł.

— Nie, bez żartów!

— Mówią, że podobno pani, ciocia znaczy wasza, nie pozwalała. Za to mnie, grzeszną, panienką przezwali.

— Noo, jaka tam z ciebie panienka!

— Właśnie, panienka! — odpowiadała Natalia, ciemną starczą ręką wycierając wargi, które przebiegły uśmiezek pokrywał siecią zmarszczek. — Przecież jam mleczna siostra Arkadiusza Piotrowicza, druga wasza ciotunia...

W miarę jak podrastaliśmy, z większą uwagą przysłuchiwałem się temu, co mówiono w domu o Suchymdole. Niezrozumiałe dotychczas fakty stawały się jasne i coraz wyraźniej uwypuklały się dziwne szczegóły życia suchodolskiego. Czuliśmy przecież dobrze, że Natalia, która nieomal połowę swego życia przeżyła wspólnie z ojcem, jest dla nas, dla rodowej szlachty, dla panów Chruszczowów, kimś prawdziwie bliskim. A tymczasem okazuje się, że właśnie ci panowie oddali jej ojca „w soldaty”¹, a matkę doprowadzili do takiego stanu lęku i pokory, że serce jej pękło już na sam widok zmarniałych indyczek!

— Bo i prawda — mówiła Natalia — jakże nie miała paść martwa z takiego nie-szczęścia? Przecież państwo wygnaliby ją za to aż za Możajsk²!

Potem dowiedzieliśmy się o Suchymdole jeszcze dziwniejszych rzeczy: że „na całym świecie” nie było lepszych i bardziej prostolinijnych państwa, ale też, że nie było i „bardziej

¹w soldaty (pot.) — przymusowe wcielenie do armii. [przypis edytorski]

²Możajsk — rosyjskie miasto w obwodzie moskiewskim. [przypis edytorski]

gorących”. Dowiedzieliśmy się, że dom w Suchymdole był ciemny i ponury, że obłąkany nasz dziad, Piotr Kiryłowicz, został tam zabity przez własnego syna, Gerwazego, przyjaciela naszego ojca, a kuzyna Natalii. Dowiedzieliśmy się, że z powodu nieszczęśliwej miłości zwariowała również i ciocia Tonia, która mieszkała w jednym z czworaków³ obok zubożałego suchodolskiego folwarku i w zachwyceniu grywała polki-szkotki⁴ na brzęczącym i dudniącym ze starości fortepianie. Dowiedzieliśmy się, że wariowała także i Natalia, że jeszcze będąc dziewczynką zakochała się na całe życie w naszym nieboszczyku stryju, Piotrze Piotrowiczu, a on zesłał ją na wygnanie do chutoru⁵ Soszki...

Nasze namiętne marzenia o Suchymdole były zupełnie zrozumiałe. Dla nas był on tylko poetycznym wspomnieniem przeszłości. A dla Natalii...? Przecież kiedyś, jakby w odpowiedzi na jakąś swoją utajoną myśl, powiedziała z wielką goryczą:

— Cóż! W Suchymdole siadano do stołu z dyscypliną⁶! Strach wspominać!

— Jak to z dyscypliną? Z harapami⁷? — zapytaliśmy.

— To przecie to samo — odpowiedziała.

— A po co?

— A na wypadek jakby się kto kłócił...

— To w Suchymdole ciągle się kłócono?

— Oj, nie daj Boże! Ani jeden dzień nie przeszedł bez awantury! Wszyscy byli jak ten proch...!

Zamieraliśmy z wrażenia na te słowa i z zachwytem patrzyliśmy na siebie. Przez długi czas wyobrażaliśmy sobie potem ogromny ogród, wielki folwark, dom o sękatych dębowych ścianach pod ciężkim, poczerniałym ze starości słomianym dachem, i obiad w jadalni tego domu. Wszyscy siedzą za stołem, jedzą, rzucając kości psom na podłogę, a z ukosa patrzą na siebie i każdy ma na kolanach harap. Marzyliśmy o tych złotych czasach, kiedy dorośniemy i także będziemy jedli obiad z harapami na kolanach. Rozumieliśmy jednakże doskonale, że Natalii te harapy nie sprawiały radości. A jednak wróciła z Łuniewa do Suchegodołu, do źródła swoich ponurych wspomnień. Nie miała tam ani własnego kąta, ani krewnych; obsługiwała też w Suchymdole już nie dawną swoją panią, ciocię Tonię, lecz żonę nieboszczyka Piotra Piotrowicza. Ale cóż, Natalia nie mogła żyć bez tego folwarku.

— Cóż robić, przyzwyczajenie! — mówiła skromnie. — Gdzie igła, tam, widać, musi być i nitka. Gdzieś się urodził, tam też będziesz pracował...

Nie tylko ona przywiązana była do Suchegodołu, zresztą nie było to już przywiązanie, lecz coś daleko głębszego, daleko silniejszego. Boże, jakże namiętnie lubiła wspomnienia i jak gorąco przywiązana też była do Suchegodołu i reszta naszej służby! A już o cioci Toni, o ojcu, to nawet nie ma co mówić!

Ciocia Tonia mieszkała w nędzy, w chałupie. Suchydół pozbawił ją szczęścia, rozumu i ludzkiego wyglądu. Ale wbrew namowom ojca nie dopuszczała nawet myśli, aby porzucić gniazdo rodzinne i zamieszkać w Łuniewie.

— Lepiej kamienie tłuc!

Ojciec nasz był człowiekiem beztroskim; zdawać by się mogło, że dla niego nie istnieje żadne przywiązanie. Lecz i w jego opowieściach o Suchymdole przebiegał głęboki smutek. Dawno już przeniósł się z Suchegodołu do Łuniewa, majątku naszej babki Olgi Kiryłowny. Lecz niemal do śmierci skarżył się ciągle na swoje życie:

— Ostatni już Chruszczow pozostał teraz na świecie, a i ten nie mieszka w Suchymdole!

Prawda, zdarzało się często, że zaraz potem zamykał się, spoglądając przez okno na pole i nagle, uśmiechając się ironicznie, zdejmował ze ściany gitarę.

— Ale i ten Suchydół także dobry, bodajby sześć! — dodawał z taką samą szczerością, z jaką mówił przed chwilą.

Lecz duszę miał suchodolską, chłopską, duszę całkowicie we władzy wspomnień, we

Miłość niespełniona,
Szaleństwo

Sługa, Przemoc

Rosja, Wieś, Obraz świata,
Szlachcic, Chłop

³czworaki — folwarczne budynki mieszkalne dla służby. [przypis edytorski]

⁴polka-szkotka — popularny w XIX w. towarzyski taniec ludowy. [przypis edytorski]

⁵chutor — odosobniona zagroda wiejska, charakterystyczny dla obszarów stepowych. [przypis edytorski]

⁶dyscyplina — tu: dawniej bat o kilku rzemieniach służący do biczowania. [przypis edytorski]

⁷harap — bicz myśliwski z długim, plecionym rzemieniem. [przypis edytorski]

władzy stepów, dawnych form życia, tego starodawnego rodzinnego bytu, który w Suchymdole łączył ze sobą wieś, służbę i dwór. Prawda, że my, Chruszczowowie, jesteśmy starą rodową szlachtą wpisaną do ksiąg aż do szóstego pokolenia, że wśród naszych legendarnych przodków było wielu magnatów krwi litewskiej oraz kilka tatarskich książątek. Odbiło się to w nas nieraz. Lecz w rzeczywistości — jesteśmy chłopami. Mówią, że stanowiliśmy i stanowimy do dziś jakąś oddzielną kastę. Ale czyż wszystko to nie jest o wiele prostsze? Na Rusi⁸ byli chłopci bogaci, byli i biedni; biednych nazywano panami, a drugich — pańskimi pańszczyźnianymi; ot i cała różnica. Krew Chruszczowów od wieków mieszała się z krwią służby i wsi. Kto spłodził Piotra Kiriłowicza? Podania różnie o tym mówią. Kto był rodzicem Gerwazego, jego zabójcy? Od dzieciństwa słyszeliśmy zawsze, że był nim Piotr Kiriłowicz. Skąd pochodziły tak uderzające różnice w charakterze ojca i stryja? I o tym różnie mówią. Natalia była mleczną siostrą ojca; on zaś i Gerwazy wspólnie na krzyż przysięgli sobie wieczną przyjaźń... Dawno już, dawno nadszedł dla Chruszczowów czas, aby poczuł pokrewieństwo swoje ze wsią i ze służbą.

Zarówno ja, jak i siostra moja, długie lata byliśmy pod urokiem staroświecczynny Suchegodołu, który nas pociągał. Służba, wieś i dwór stanowiły w Suchymdole jedną wspólną rodzinę, którą zarządzili nasi praszczurowie, co jeszcze w dalszych pokoleniach daje się odczuwać. Życie rodziny, rodu, klanu jest bardzo głębokie, zadzierzgnięte w tajemnicze węzły, często nawet pełne grozy, lecz siłę stanowi właśnie ta ciemna jego głębi-
na, ta przeszłość i legendy. Suchydół nie posiada piśmiennych dokumentów i pamiątek więcej niż pierwsze lepsze koczowisko baszkirskie⁹ na Rusi, a legendy zastępują wszelkie pisane pamiątki. Lecz pieśni i podania to trucizna dla słowiańskiej duszy! Gdzież służba nasza, dawni chłopci pańszczyźniani, marzyciele i leniuchy mogliby ulżyć duszy, jak nie w naszym domu? Piotr Piotrowicz umarł młodo, Kłasy Markowny nikt nie uważał za Chruszczową, chociaż nawet i ona, z domu Ganiemszyna, chętnie mówiła: „Nasza Chruszczowska krew...”. Jedynym przedstawicielem suchodolskich panów był mój ojciec. Pierwsze słowa, które nauczyliśmy się wymawiać, były w języku właściwym dla Suchegodołu. Pierwsze opowiadki, pierwsze piosenki, które nas wzruszały, także były suchodolskie lub Natalii. A zresztą któż by potrafił tak śpiewać jak ojciec, uczeń naszych chłopów, śpiewać z tak beztroskim smutkiem, z tak dobrotliwym wyrzutem, z tak bezbronnym oddaniem się „wiernej i wytwornej swej pani”? Czy umiał kto tak opowiadać jak Natalia? I któż był nam bliższy niż suchodolscy chłopci?

Chruszczowowie, jak każda rodzina długo żyjąca wspólnym i bliskim bytem, słynęli od wieków z waśni i wzajemnych sporów. A gdyśmy byli jeszcze dziećmi, wybuchła taka kłótnia pomiędzy Suchymdolem a Łuniewem, że ojciec blisko przez dziesięć lat nie przestąpił progu rodzinnego domu. Dlatego też jako dzieci nie widzieliśmy nigdy dokładnie Suchegodołu. Byliśmy tam tylko raz jeden i to w przejeździe do Zadonska¹⁰. Lecz przecież sny niekiedy silniejsze są od jawy. I mglisto ale niezatarte zapamiętaliśmy długi letni dzień, jakieś falujące pola i zarośniętą wielką drogę, która oczarowała nas swą dałą i stojącymi gdzieniegdzie wierzbami pełnymi dziupli; zapamiętaliśmy ul na jednej z takich wierzb, stojący wśród zbóż, ul, zostawiony na wolę boską pośród pól, u skraju zapuszczonej drogi; zapamiętaliśmy szeroki zakręt pod górę, ogromny nagi wygon, na którym przysiadły biedne kurne¹¹ chaty, a dalej żółcące się kamieniste parowy za chatami, zaś na ich dnie biel kamieni i żwiru... Pierwszy wypadek, który nas przeraził, zdarzył się także w Suchymdole: zabójstwo dziadka przez Gerwazego. Słuchając opowieści o tym morderstwie, majaczyliśmy bez końca o żółtych, ciągnących się gdzieś w dal jarach. Zdawało się nam nieustannie, że właśnie tamtędy uciekał Gerwazy po dokonaniu tego strasznego czynu, zanim zaginął „jak klucz wrzucony do morza”.

Chłopci suchodolscy odwiedzali Łuniewo nie w takich celach jak dworscy, ale raczej z powodu ziemi; lecz i oni wchodzili do naszego domu niby do własnego. Kłaniali się ojcu w pas, całowali go w rękę, po czym, zarzuciwszy czuprynami, trzykrotnie całowali się z nim, z Natalią i z nami prosto w usta. Przywozili w prezencie miód, jajka, ręczniki.

Rodzina, Historia,
Wspomnienia

Chłop, Zapach,
Dzieciństwo, Dar

⁸Rus — historyczna nazwa ziem wschodniosłowiańskich, na których powstały współczesne państwa Ukrainy, Białorusi oraz Rosji. [przypis edytorski]

⁹baszkirski — dotyczący Baszkirów, członków narodu pochodzenia tureckiego. [przypis edytorski]

¹⁰Zadonsk — miasto w Rosji, w obwodzie lipieckim. [przypis edytorski]

¹¹kurny — kurna izba a. kurna chata to pomieszczenie bez przewodu kominowego. [przypis edytorski]

My zaś, wychowani wśród pól, wrażliwi na zapachy, a chciwi na nie tak samo jak na pieśni i podania, zapamiętaliśmy na zawsze ten specjalny przyjemny aromat jakby konopi, który czuliśmy, całując się z suchodolcami. Zapamiętaliśmy i to, że podarunki ich pachniały starą stepową wioską: miód — kwitnącą gryką i dębowym przegniłym ulem, ręczniki — stodołami i kurnymi chatami z czasów dziadka... Suchodolscy chłopci niczego nie opowiadali. I cóż mieliby do opowiadania! Nie istniały wśród nich nawet podania, mogiły były bezimienne, a jedno życie niczym się nie różniło od drugiego, takie było ubogie i nie pozostawiało po sobie śladu! Albowiem owocem pracy i trudów tych ludzi był tylko chleb, taki prawdziwy chleb, który się jada. Kopali stawy w kamienistym łożysku dawno wyschniętej rzeczki Kamionki, lecz stawy to rzecz niepewna — przecież także wysychają. Budowali osiedla, lecz i osiedla ich nie trwały długo: od najmniejszej iskiej spalały się do cna... A więc cóż pociągało nas wszystkich, a zwłaszcza Natalię, do tego nagiego ugoru, do tych chat i jarów, do zniszczonego dworu w Suchymdole? Czyż nie działa się to dzięki owym starodawnym węzłom rodzinnym, dzięki naszej krwi przepojonej czarem stepu?

II

Zwyczaj nakazuje zwracanie się do nianiek i do starych dworskich służących po imieniu z dodaniem imienia ojca¹², ale ją nazywano zawsze tylko po imieniu: z początku Nata-sza, później Natalia. Nie była podobna do nianki, przez całe życie pozostała prawdziwą chłopką. Zresztą i Suchydół mało był podobny do zazwyczaj opisywanych szlacheckich gniazd.

Suchydół, który uformował duszę Natalii i zawładnął jej życiem, ów dwór, o którym tyle słyszeliśmy, dane nam było ujrzeć dopiero wówczas, gdyśmy już byli prawie dorośli.

Pamiętam ten przyjazd, jakby to było wczoraj. Kiedyśmy pod wieczór dojeżdżali do Suchegodołu, lunął nagły deszcz z ogluszającymi piorunami i oślepiąco szybkimi błyskawicami, wijącymi się po niebie na kształt ognistych węzów. Czarno-fioletowa chmura przesunęła się ciężko na północny zachód i majestatycznie przysłoniła pół nieba naprzeciwko nas. Równina zbóż zieleniała na jej ogromnym tle zadziwiająco wyraźnie i płasko jakąś martwą bledością; niska mokra trawa na wielkiej drodze była niezwykle jaskrawa i świeża. Konie, również mokre i jak gdyby raptownie wychudłe, człapały po granatowym błocie, błyskając podkowami, a bryczka sunęła z wilgotnym szelestem kół tnących gęstą maź... I nagle na samym zakręcie do Suchegodołu ujrzeliśmy wśród wysokiego wilgotnego żyta dużą dziwną postać w kapocie i zawoju, postać niby starca czy staruszki, bijącej suchą gałęzią laciątą bezrogą krowę. Gdyśmy się zbliżyli, sucha gałąź poszła szybciej w ruch i krowa, opędzając się ogonem, wybiegła niezdarnie na drogę. Stara baba zaś, krzycząc coś, ruszyła w stronę bryczki i zbliżywszy się, przysunęła do nas swą bladą twarz. Pocałowaliśmy ją, patrząc ze strachem w czarne obłąkane oczy, czując dotknięcie śpiczastego zimnego nosa i mocny zapach chałupy. „Czy to nie Baba-Jaga we własnej osobie”, pomyśleliśmy, „czy to Iwan Groźny¹³ wstał z grobu...?”. Ale na głowie Groźnego sterczał wysoki kołpak z jakiegoś brudnego gałgana, a na nagie ciało włożona była obszarpana i do pasa mokra kapota, nie zakrywająca suchych piersi. Krzyczał zaś ten Groźny tak, jakbyśmy byli głusi i jak gdyby miał zamiar wywołać zacieklą kłótnię. Po tym krzyku poznaliśmy, że to ciocia Tonia. Jakoś wesoło, po pensjonarsku i z zachwytem zaczęła też na nasz widok krzyczeć Klasza Markowna, osoba tęga, niziutka, z siwą bródką, z niezwykle żywymi oczkami, siedząca przy otwartym oknie w domu o dwóch dużych gankach, robiąca na drutach skarpetkę, i bez okularów, podniesionych na czoło, patrząca na wygon, który łączył się z podwórzem. Na prawym ganku stała Natalia, drobna, opalona, w łapciach, w wełnianej czerwonej spódnicy i w szarej koszuli, wyciętej przy ciemnej pomarszczonej szyi; ukloniła nam się nisko z łagodnym uśmiechem. Pamiętam, że spojrzawszy na tę szyję, na chude obojczyki i na zmęczone smutne oczy, pomyślałem: „To ona chowała się wspólnie z naszym ojcem...”. Dawno to było, dawno, ale działa się właśnie tutaj, gdzie z dziadkowego dębowego domu, wielokrotnie spalonego, został budynek obecnie taki niepozorny, a z ogrodu uchroniły się krzaki i kilka starych brzoź oraz topoli,

Wspomnienia, Burza,
Podróż, Droga

¹²dodanie imienia ojca — chodzi o tzw. otczestwo (ros. *отчество*), używane w językach wschodniosłowiańskich imię ojcowskie. [przypis edytorski]

¹³Iwan Groźny a. Iwan IV Groźny (1530–1584) — car Rosji z dynastii Rurykowiczów. [przypis edytorski]

zaś z gospodarskich zabudowań — chata, stodoła, gliniana drwalnia oraz lodownia zarośla piołunem i łopuchem... Zapachniało samowarem, posypały się pytania; ze stuletnich kredensów wydobyto kryształowe miseczki konfitur, złote łyżeczki, cienkie ze starości jak liść klonowy, suche owoce w cukrze zachowane na wypadek przybycia gości. I w czasie gdy zawiązywała się rozmowa szczególnie serdeczna po długich nieporozumieniach, my, młodzież, poszliśmy myszkować po na wpół ciemnych pokojach, szukając balkonu i wyjścia do ogrodu.

Aż czarne ze starości, proste i ordynarne było wszystko w tych pustych niskich pokojach, które zachowały to samo przeznaczenie, jakie miały za życia dziadka, a które zbudowano z owych resztek starego dworu, gdzie niegdyś mieszkał. W kącie kredensowego wisiał duży obraz świętego Merkuriusza Smoleńskiego¹⁴, tego samego, którego żelazne sandały i hełm przechowywane są w starodawnym smoleńskim soborze. Słyszeliśmy, że Merkuriusz był mężem sławnym, wezwanym do ocalenia Smoleńszczyzny¹⁵ od Tatarów, a stało się to na zlecenie ikony Matki Bożej Patronki Podróży¹⁶, która wówczas przemówiła... Pobiwszy Tatarów, święty zasnął, a wtedy wrogowie ucięli mu głowę, on zaś, wzięwszy ją w swe ręce, przyszedł do bram miasta, aby o wszystkim obwieścić ludowi. Strachem przejmował ten suzdalski¹⁷ obraz, przedstawiający człowieka bez głowy, trzymającego w jednej ręce martwy posiniały czerep w hełmie, a w drugiej — ikonę Patronki Podróży. Był to, jak mówiono, ulubiony obraz dziadka; przeżył kilka pożarów, pękl w ogniu, lecz okuty był jeszcze grubo w srebro, a na odwrocie wypisany miał rodowód Chruszczowów wraz z ich tytułami. Na zharmonizowanych z nim ciężkich drzwiczkach zamykających ikonę wisiały u góry i u dołu równie masywne żelazne zasuw. Deski podłogi w salonie były niezwykle szerokie, ciemne i śliskie, okna małe, z zasuwanymi szybami. Z sali, bliźniaczo podobnej, a jedynie trochę mniejszej od owej, w której Chruszczowowie siadywali do stołu z dyscyplinami, przeszliśmy do bawialni. Naprzeciw drzwi balkonowych stał tu niegdyś fortepian, na którym grywała ciocia Tonia zakochana w oficerze Wojtkiewiczu, koledze Piotra Piotrowicza. Dalej otwierały się szeroko drzwi do narożnego pokoju, zastawionego kanapami i otomanami¹⁸, gdzie zaczynały się kiedyś pokoje dziadka...

Wieczór był ponury. Wśród chmur, za skrajem wyrąbanego sadu, za na wpół pustym gumnem¹⁹ i za srebrzystymi topolami rozjarzały się błyskawice, ukazując na chwilę różowawo-złote wały. Ulewa nie ogarnęła śnać²⁰ lasu Troszyna, ciemniejącego daleko za sadem na pochyłości wzgórza za jarami. Płynął stamtąd suchy i ciepły zapach dębów, zmieszany z wonią listowia, z wilgocią łagodnego wiatru, przebiegającego po wierzchołkach brzoź, jedynych, które ocalały z alei, po wysokich pokrzywach, zielskach i krzewach wokoło balkonu. Głęboka cisza wieczora, cisza stepu na zapadłej prowincji rosyjskiej pannaowała nad wszystkim...

— Państwo pozwól na herbatę! — zawołał na nas czyjś ściszony głos.

To była ona: uczestniczka i świadek tego dawnego życia, główna jego wyrazicielka, Natalia. A za nią, uważnie przypatrując się nam obłąkanymi oczami, lekko zgarbiona i ceremonialnie sunąca po ciemnej gładkiej posadzce, szła jej pani. Zawoju z głowy nie zdjęła, ale zamiast kaptoty miała teraz na sobie staromodną wełnianą suknię, na ramiona zarzuciła wyblakły jedwabny szal.

— *Ou êtes-vous, mes enfants?*²¹ — wołała, uśmiechając się i mizdrząc, a głos jej donośny i ostry jak głos papugi dziwnie rozlegał się po pustych ciemnych pokojach.

¹⁴Merkuriusz Smoleński a. Merkury Smoleński (zm. 1239) — święty Kościoła prawosławnego, męczennik, bohater walk z Mongolami; zgodnie z legendą w trakcie walk obcięto mu głowę. [przypis edytorski]

¹⁵Smoleńszczyzna — historyczny region geograficzny obejmujący okolice Smoleńska, położony na pograniczu wschodniej Europy. [przypis edytorski]

¹⁶Matka Boża Patronka Podróży a. Matka Boża Dobrej Drogi — patronka pielgrzymów i turystów. [przypis edytorski]

¹⁷suздałski — z Suzdału, rosyjskiego miasta w obwodzie włodzimierskim. [przypis edytorski]

¹⁸otomana — wyszczelana sofa turecka z poduszkami i wałkami. [przypis edytorski]

¹⁹gumno — wiejskie podwórko. [przypis edytorski]

²⁰śnać (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

²¹*Ou êtes-vous, mes enfants?* (fr.) — Gdzie jesteście, moje dzieci? [przypis edytorski]

Rozczarowanie nasze było ogromne! Przecież tak długo chciwie słuchaliśmy opowieści o Suchymdole! Wszyscy o nim mówili tak, jakby to była siedziba wielkksiążęca, a w zamian za to ujrzelśmy niedostatek, biedę oraz zdziczałą kobietę, której postać przybieraliśmy dotychczas w szaty romantyzmu. Nie przedstawialiśmy sobie wprawdzie Suchegodołu według wzorów, jakie mieliśmy przed oczami w majątkach Larinów czy Ławreckich, będącymi czymś w rodzaju oaz w tej okolicy, ale wszystkie podania, wszystkie poetyczne opowieści o Suchymdole zgasły dla nas tego wieczora w tej biednej zapuszczonej głuszy. Dalecy byliśmy jeszcze wówczas od prawdy! Ale teraz znamy ją dobrze. Tak jest: mieszkańcy Suchegodołu nie byli zdolni ani do normalnej miłości, ani do zwykłej nienawiści, ani do rozsądnego przywiązania, ani do zdrowego życia rodzinnego, ani do pracy, ani do współżycia. Prawie wszyscy z pokolenia w pokolenie cierpieli na cielesne lub duchowe niedomogi, a wraz z nimi ich najbliżsi. Kronika suchodolska pełna jest bezsensownych i straszliwych podań. My w niej jesteśmy ostatnim ogniwem, zerwaliśmy wszelkie nici wiążące nas z tą ziemią. Zniknie też nieza długo na zawsze nazwisko Chruszczowów. Ale, doprawdy, myśl o tym teraz mnie tylko cieszy. Przeszłość Suchegodołu pozwoliła nam poznać jego duszę. Przeszłość ją zresztą stworzyła. Jeszcze dokładniej i jaśniej niż w teraźniejszości uwydatniły się w niej prawdziwie słowiańskie cechy, zgubnie odmienne od dusz innych ludzi.

Ojciec nasz uważany był za pana Suchegodołu, ale w rzeczywistości on również był jego niewolnikiem, jego również zmarnowało to miejsce. We dworze suchodolskim ojciec wyróżniał się spośród wszystkich; nawet z twarzy nie był podobny do innych Chruszczowów. Ale zaiste suchodolska nieumiejętność przystosowywania się do ludzkiego życia występowała i w nim również, w tym potomku degenerującego się rodu. Gotów był oddać ostatnią swą koszulę innym, ale czyż zdarzyło się choć raz jeden, aby dar ten nie przepadł nadaremnie, lecz dostał się w ręce rozsądne i pracowite? Dobry był jak dziecko, a wściekle zapalczywy jak zwierzę. Surowym okrzykiem można go było niekiedy doprowadzić do strachu i uspokojenia, ale czasami mógł z pustymi rękami rzucić się na uzbrojony tłum. Z natury miał umysł żywy i bystry, ale jakoś tak się często zdarzało, że z dziesięciu jego słów osiem bywało bez sensu. Powiedziawszy stanowczo i sobie, i otaczającym: „W ten sposób powinienem zrobić to a to”, w tejże chwili robił akurat odwrotnie. Nie znosił logiki i ciągłości w rozważaniach, a optymizm i namiętne marzenia co chwila ustępowały w jego duszy miejsca zupełnej beznadziejności... Gdy sprawy mu się wikłały, gdy splątywały w węzeł nie do rozwiązania, robił kilka rozpaczliwych wysiłków, by wybrnąć z sytuacji, ale zazwyczaj kończyło się to tym, że rzucał wszystko na los szczęścia. Do trzydziestego roku życia nie brał do ust ani kropli alkoholu, ani cybucha, a po trzydziestce zaczął tak pić i palić, że nikt mu nie dorównał w całym powiecie. O ile drobnostkowo skąpy i podejrzliwy był Piotr Piotrowicz, o tyle bezsensownie hojny i ufny był ojciec. I zdawać by się mogło, że całe jego życie skierowane jest tylko na to, żeby nie ominąć ani jednej możliwości, mogącej przygotować torby żebracze i jemu na starość, i nam na okres naszej młodości.

Gdyśmy się urodzili, w domu naszym panowała już wielka bieda, a myśmy się dziwili, że „tak raptownie przyszła!“. „Czyżby przyczyna jej”, rozmyślaliśmy, „polegała na zerwaniu więzów pomiędzy pańszczyźnianym chłopstwem a panem?”. Szybkość, z jaką zniknęły z powierzchni ziemi stare szlacheckie gniazda, wydawała się niezrozumiała. Myślę teraz, że może przypisywano im wówczas zbyt wielkie znaczenie, mówiąc o ich starości, trwałości i... pańskości? Można było przecież nazywać nas, chłopów, panami feudalnymi; można było wierzyć w silne podstawy Suchegodołu, nie bacząc na pierwotność jego życia. W przeciągu kilku lat — nie wieków, lecz lat! — do cna niszczały pozory owego dostatku, którym pyszniły się nasze dawne czasy. Jakaż przyczyna tego? Może ta, że Suchydół nie miał żadnych silnych podstaw, lecz panowała tu tylko gnuśność? Może ta, że zagłada degenerującego się mieszkańca była zgodna z jego duszą, z jego pragnieniem tej zagłady, samozatrąty i unicestwienia, zgodna z jego strachem przed życiem....?

III

W zniszczonym dworze panował ten sam czar, który żył w Natalii, w jej chłopskiej prostocie, w całej jej przepięknej a godnej pożałowania duszy, zrodzonej przez Suchydół.

Upadek, Dom,
Rozczarowanie

Ojciec, Konflikt
wewnętrzny

W starej bawialni z pochyloną podłogą pachniało jaśminem. Przegniły, szaro-niebieski ze starości balkon, z którego w braku stopni trzeba było zeskakiwać, tonął w pokrzywach, bzach i bluszczach. W upalne dni, kiedy słońce dopiekało, kiedy spalone szklane drzwi były otwarte i wesoły blask od nich migotał w mętным owalnym zwierciadle wiszącym na ścianie naprzeciwko balkonu, ciągle przypominał nam się fortepian ciotki Toni, stojący niegdyś pod owym lustrem. Grywała na nim, patrząc na poślizgniętych, których tytuły wypisane były z ozdobnymi zakrętami. A z tyłu stał on, oparłszy lewą rękę na biodrze, mocno zaciskając szczęki i chmurnie ściągając brwi. Do bawialni wlatywały prześliczne motyle w perkalowych jaskrawych sukienkach, w japońskich ubiorach, w czarno-liliowych aksamitnych szalach. I kiedyś, przed odjazdem, on ze wzburzeniem uderzył ręką jednego z nich, lekko przysiadł na fortepianie. Został po nim tylko srebrzysty pył. Ale po kilku dniach, gdy dziewczęta starły go przez głupotę, ciocia Tonia dostała spazmów... Wychodziliśmy z bawialni na balkon, siadaliśmy na ciepłych deskach i rozmyślaliśmy, rozmyślali... Wiatr, przebiegający po ogrodzie, przynosił nam jedwabisty szelest brzoś o atlasowo białych pniach, poplamionych czernią, i o szeroko rozrzuconych zielonych gałęziach. Wietrzyk, szumiąc i szeleszcząc, przylatywał od pół... Zielono-złota wilga krzyczała donośnie i radośnie, goniąc ponad białymi kwiatami za gadatliwymi kawkami, zamieszkującymi liczną rodziną rozwalone kominy i ciemne poddasza, gdzie pachną stare cegły, a na kopce szaro-fioletowego pyłu padają przez okienka smugi złotego blasku... Chwilami wiatr przycichał, pszczoły sennie laziły po kwiatkach przy balkonie, wykonując swą nieśpieszną pracę, i w ciszy słychać było tylko jednostajny, szemrzący szelest listowia srebrzystych brzoś, niby nieprzerwany szmer drobnego deszczu. Błądziliśmy po ogrodzie i zaszywaliśmy się w najodleglejsze gęstwiny. Tutaj na jego skrajach, łączących się wprost ze zbożami pół, w pradiadowej łaźni z zapadłym sufitem, tej samej, w której Natalia przechowywała lustro skradzione Piotrowi Piotrowiczowi, mieszkali białe króle. Jak miękko wyskakiwały na próg, jak zabawnie, ruszając wąsami i rozdwojonymi wargami, zezowały szeroko rozstawionymi wytrzeszczonymi oczkami na wysoką tatarkę, na krzaki lulkę i zarośla pokrzywy, zagłuszające tarninę i dzikie wiśnie! A w na wpół otwartym spichrzu mieszkał puchacz. Siedział na poprzecznej belce, wybraawszy sobie najciemniejsze miejsce, podniósłszy śpiczaste uszy i wytrzeszczając żółte ślepe oczy — wyglądał dziko i podobny był do diabła. Słońce zachodziło daleko za ogrodem wśród morza zbóż, zbliżał się spokojny jasny wieczór, kukulka kukła w lesie Troszyna, gdzieś nad łąkami żałośnie dzwoniły owieczki starego pastucha Stiopy... Puchacz siedział i czekał na przyjście nocy. W nocy wszystko spało: i pola, i wieś, i dwór. A wówczas puchacz bez przerwy płakał i stękał. Zataczał niedosłyszalne koła nad spichrzem, nad ogrodem, przylatywał do chaty ciotki Toni, lekko przysiadł na dachu; krzyczał boleśnie... Wtedy ciocia budziła się na swej ławce przy piecu.

— Jezusie najśłodszy — szeptała, wzdychając — zmiłuj się nade mną.

Muchy pod sufitem gorącej ciemnej chaty brzęczały senne i niezadowolone. Co noc budziło je co innego: to krowa czochrała się bokiem o ścianę chaty; to szczur przebiegał po klawiszach fortepianu, dźwięczących urywanie, a poślizgnąwszy się, spadał w cerepki²², troskliwie składane przez ciotkę Tonię w kącie; to stary czarny kot o zielonych oczach wracał skądś późno do domu i leniwym głosem prosił o wpuszczenie; to znów przylatywał puchacz, przepowiadający swymi krzykami nieszczęście. I ciocia, starając się przezwyciężyć senność, odpędzając muchy włączając jej w ciemnościach do oczu, klnąc i szepcząc modlitwy, wstawała, po omacku szukała czegoś na ławkach, trzaskała drzwiami i wyszedłszy na próg, rzuciła na chybił trafił w gwiaździste niebo kamieniem. Puchacz, z szelestem potrącając skrzydłami słomę, zrywał się z dachu i zapadał gdzieś nisko w ciemności. Prawie dotykając ziemi, płynnie wracał do spichrza i podleciawszy, siadał na jego szczycie, a po chwili do dworu znowu dobiegał jego płacz. Przez chwilę siedział cicho, jakby sobie coś przypominając, po czym raptownie wydawał jęk zdumienia, po którym milknął... Ale już po sekundzie zaczynał histerycznie hukać, śmiać się i znowu milknął... I znowu zanosił się stękaniami, łkaniem, szlochem... A noce ciemne, ciepłe, z liliowymi chmurkami, spokojne były, tak bardzo spokojne! Sennie płynął szelest śpiących topoli, nad czarnym lasem Troszyna słabo migały błyskawice, pachniało ciepłem i suchą dęb-

Ptak

²²czerepki — skorupy, odłamki ceramiki, garnków, talerzy etc. [przypis edytorski]

na. Obok lasu, nad polem owsa, na czystym kawałku nieba pomiędzy chmurami świecił błękitnym mogilnym blaskiem Skorpion²³, niby srebrny trójkąt.

Do dworu wracaliśmy późno. Nasyciwszy się rosą, świeżością stepu, zapachem polnych kwiatów i traw, ostrożnie wchodziliśmy na ganek i wkradaliśmy się do ciemnego przedpokoju. Często zastawaliśmy tu Natalię na modlitwie przed obrazem Merkuriusza. Bosa, małeńka, stała przed nim ze skrzyżowanymi rękami, szeptała coś, robiła znaki krzyża, biła pokłony niewidocznemu w ciemności świętemu, a wszystko to było tak proste, jakby Natalia rozmawiała z kimś bliskim, prostym, dobrym i łaskawym.

— Natalia? — wołaliśmy na nią z cicha.

— A co? — odpowiadała równie cicho i prosto, przerywając modlitwę.

— Dlaczegoż ty do tej pory nie śpisz?

— Toż w grobie dosyć się naśpimy...

Siadaliśmy wówczas na parapecie i otwieraliśmy okno, a Natalia stała obok, splótłszy dłonie. Błyskawice migały tajemniczo, oświetlając ciemne pokoje; gdzieś daleko, w rosie na stepie, wołała przepiórka. Kaczka, przebudziwszy się na stawie, kwakała jakoś ostrzegawczo i lękliwie...

— Ze spaceru?

— Tak.

— No cóż, zwyczajnie, jak młodzi... My też, bywało, przez całą noc do świtu chodziliśmy... Czasem jak jedna zorza wygnała z domu, to dopiero druga sprowadzała...

— Dobrze żyło się tu dawniej?

— Dobrze...

I następowało długie milczenie.

— Czego ten puchacz, nianiu, tak krzyczy? — pytała siostra.

— Nikt mu nie każe... Śmierci na niego nie ma! Żeby to go choć panicz strzałem ze strzelby spłoszył. Po prostu aż strach na człowieka sprowadza: czy nieszczęścia jakiego nie wykrzyczy? I panienkę ciągle przeraża. Ona taka przecież ogromnie lękliwa!

— A od czego ciocia zachorowała?

— Wiadomo: łzy, łzy i smutek... Potem zaczęła się modlić... A coraz gorsza była dla nas, dziewczyn, i coraz bardziej gniewała się na braci...

Przypominając sobie harapy, pytaliśmy:

— Więc nie żyli w przyjaźni?

— Jakże nie w przyjaźni? W dużej! A najwięcej po tym, jak panienka zachorowała, jak dziadek umarł, jak wszystko przeszło na młodych panów i jak ożenił się nieboszczyk Piotr Piotrowicz. Gorące to było państwo, czysty proch!

— I bili służbę często?

— O, takiego zwyczaju to u nas nie było! Ja kiedyś zasłużyłam na karę, ale Piotr Piotrowicz kazał mi tylko głowę ostrzyć nożycami, co owce strzygą, włożyć śmiertelną koszulę i wyprowadzić do chutoru...

— A coż ty takiego złego zrobiła?

Ale odpowiedź rzadko kiedy następowała szybko i bezpośrednio. Niekiedy Natalia opowiadała z zadziwiającą prostotą i dokładnością, niekiedy zaciniała się i nad czymś zamyślała, potem wzdychała leciutko, a myśmy poznawali po jej głosie, nie widząc w ciemnościach twarzy, że Natalia smutnie się uśmiecha.

— Ano, byłam winna... Już przecież opowiadałam... Młoda byłam i głupia. „Na moją biedę, na grzech śpiewał słowiczek w sadzie...”²⁴ Wiadomo, takie tam sprawy... Dziewczyńskie...

— Nianiu — prosiła przymilnie siostra — powiedz nam te wiersze do końca. — Ale Natalia mieszała się. — To nie wiersze, a taka piosenka... Ale ja już teraz nie pamiętam...

— Nieprawda, nieprawda!

— No, to jak chcecie...

I szybko dopowiadała:

„Na mój grzech”, nie, nie tak, „na moją biedę, na grzech, śpiewał słowik w sadzie... W noc parną, w noc ciemną głupia spać się nie kładzie”...

²³Skorpion — tu: gwiazdozbiór nieba, jedna z konstelacji zodiakalnych. [przypis edytorski]

²⁴Na moją biedę, na grzech śpiewał słowiczek w sadzie... — fragment piosenki ludowej. [przypis edytorski]

— Ale tam nie było „głupia”, tylko jakoś inaczej.
 — A właśnie, że „głupia”.
 Zrobiwszy wysiłek, siostra pytała:
 — Bardzo byłaś zakochana w wuju, nianiu?
 A Natalia odpowiadała niechętnie i krótko:
 — Bardzo.
 — I wspominasz go zawsze w swoich modlitwach?
 — Zawsze...
 — Mówią, że zemdliałaś, kiedy cię wieźli do Soszek?
 — Tak. My, dworscy, strasznie byliśmy delikatni... Miękką w nas była dusza, żadnego porównania z prostym robotnikiem! Kiedy mnie zabrał Jewsej Bodulia, to aż otepiałam ze zmartwienia i ze strachu... W mieście o mało mnie nie zatknęło z nieprzyzwyczajenia. A jak wyjechaliśmy w step, strasznie mi się tęskno i żałośnie zrobiło! Po drodze spotkaliśmy oficera takiego podobnego do pana, że aż krzyknęłam i zaraz potem upadłam, i leżałam jak martwa! Dopiero kiedy mi wróciła przytomność, patrzę: jadę na wozie... Dobrze mi teraz, myślę sobie, po prostu jak w niebie!
 — To znaczy, wuj bardzo był surowy?
 — Nie daj Boże!
 — Ale przecież ciocia chyba najgorsza była ze wszystkich?
 — Ano tak, tak. Przecież mówię: nawet ją do świętego wozili. Nacierpieliśmy się z nią, nacierpieli! Mogłaby spokojnie żyć. I jak jeszcze żyć! Po pańsku. Ale ona taka dumna była! No i padło jej na rozum! Ach, jak ją ten Wojtkiewicz kocha! No, a patrzcie...
 — A dziadek?
 — Cóż dziadek! Dziadek słaby miał rozum. A i jemu się przecież przytrafiło, naturalnie... Wtedy wszyscy byli jak ten ogień... Ale za to dawniejsze państwo nie pogardzało nami! Ojczulek wasz, bywało, ukarał za coś Gerwazego przy obiedzie. I to słusznie! A wieczorem, już w czeladnej z nim baraszkował, na bałalajce²⁵ grał.
 — A powiedz, nianiu, jaki był ten Wojtkiewicz? Przystojny?
 Natalia zamyślała się.
 — Nie, nie chcę kłamać. Taki sobie, podobny do kałętka²⁶. I poważny, stateczny. Ciągłe jej wiersze czytał, ciągle straszył: „Zobaczysz”, powiada, „jak umrę, przyjdę do ciebie”...
 — Dziadek przecież także z miłości zwariował?
 — To po babce... Ale to inna sprawa, panienko. Zresztą i dom nasz taki był ponury, niewesoły... No, niech go tam Bóg ma w swojej opiece... Ot, posłuchajcie moich głupich słów...

I niespiesznym szeptem Natalia zaczynała długą, długą opowieść.

Były w niej i żarty, i niedopowiedzenia, i odbiegania od przedmiotu; była żywość, zamyślenie i niezwykła prostota. Ale jednocześnie pociągało w niej jeszcze coś innego: tajemniczość i surowy śpiewny szept. A górę nad tym brał jakiś odwieczny smutek i wszystko przeniknięte było uczuciem prastarej wiary w przeznaczenie oraz przekonania nieświadomego, niejasnego, lecz stałego, że każdy z nas powinien wziąć na siebie rolę wyznaczoną mu przez los.

IV

Jeżeli można wierzyć podaniom, to pradziad nasz, człowiek bogaty, przesiedlił się spod Kurska²⁷ do Suchegodołu dopiero na starość, gdyż nie lubił tej okolicy, głuszy i lasów. Przecież nawet przysłowie głosi: „W dawnych czasach wszędzie lasy”. Ludzie, przechodzący dwieście lat temu naszymi drogami, przedzierali się przez gęste bory. Wśród lasów też płynęła rzeczka Kamionka, wijąc się pomiędzy wzgórzami; wśród lasów leżały i wieś, i dwór, i pagórkowate pola dookoła. Ale już za czasów pradziadka zaczęło być inaczej i widok się zmienił. Rozciągnęła się tu na wpół stepowa płaszczyna i nagie skłony wzgórz, a na polach rosło żyto, owies, gryka. Na wielkiej drodze spotykało się z rzadka wierzby

Los

Las, Przemiana

²⁵bałalajka — popularny w Rosji ludowy instrument muzyczny. [przypis edytorski]

²⁶kałętka (gw.) — niski, gruby człowiek. [przypis edytorski]

²⁷Kursk — miasto w zachodniej Rosji, stolica obwodu kurskiego. [przypis edytorski]

pełne dziupli, a na wzgórzu suchodolskim — tylko biały krzemień. Z lasów ocalał zaledwie jeden: Troszyna. Zachował się tylko przepiękny park, szeroka aleja z siedemdziesięciu rozłożystych brzóz, wiśniowy sad, tonący w pokrzywach, olbrzymie zarośla malin, akacji, psich bzów i nieomal cały gaj srebrzystych topoli na krańcu ogrodu przechodzącego wprost w pola zbóż. Dom miał dach słomiany, ale tak gruby, ciemny i trwały, że nie mogłoby się z nim porównać nawet żelazo. Okna dworu wychodziły na podwórze, gdzie po obydwu stronach ciągnęły się budynki gospodarcze i czworaki, a za podwórzem zieleniał niezmierny wygon i szeroko rozsiadła się dworska wieś, duża, uboga i... niefrasobliwa.

— Zupełnie taka jak i państwo! — mawiała Natalia. — Państwo też o nic się nie kłopotalo, nie było gospodarne, ale i nie chciwe. Szymon Kiriłowicz, brat dziadkowy, podzielił się z nami: sobie wziął więcej i co lepsze, a nam zostawił tylko Soszki, Suchydół i dodał czterysta dusz²⁸. Ale z tego prawie połowa puciekała...

Dziadek Piotr Kiriłowicz słaby był na umyśle. Zestarzał się wcześniej i umarł, mając lat czterdzieści pięć. Ojciec często opowiadał, że Piotr Kiriłowicz zwariował dlatego, że pewnego dnia, gdy spał na dywanie w sadzie pod jabłonią, nagły huragan strząsnął na niego cały grad olbrzymich jabłek. Ale w czeladnej tłumaczono sobie, według słów Natalii, sprawę tę inaczej: mówiono, że dziad zachorował z tęsknoty wkrótce po śmierci babuni, kobiety wielkiej piękności; że wieczorem w przeddzień jej śmierci huragan, który zaskoczył śpiącego Piotra Kiriłowicza, naprowadził go na myśl o jego własnym bliskim końcu i przyczynił się do obłąkania. Piotr Kiriłowicz, barczysty brunet o czarnych, roztropnych i łagodnych oczach, podobny trochę do cioci Toni, pozostał obłąkany do końca życia. Jak mówiła Natalia, dawniej nie wiadano, co robić z pieniędzmi, toteż chory chodził po domu w safianowych²⁹ trzewikach i barwnym szlafroku, zatroskany niedosłyszalnymi krokami, i rozglądając się podejrzliwie, wsuwał złote monety w szczeliny dębowych bierwion.

— To dla Toniusi na posag — mawiał, gdy go na tym przyłapywano. — Zawsze tak bezpieczniej, moi drodzy, bezpieczniej... Ale zresztą, jeżeli nie chcecie, proszę bardzo, nie będę więcej chował...

I znowu wtykał pieniądze pomiędzy belki albo przesuwiał ciężkie meble w sali lub bawalni — ciągle czekał na czyjś przyjazd, chociaż sąsiedzi prawie nigdy nie bywali w Suchymdole. Niekiedy skarżył się na głód i sam sobie przyrządzał zupę: niezdarnie tłukł i rozcierał w drewnianej misie zieloną cebulę, wkruszał do niej chleb, zalewał to gęstym pieniącym się mlekiem i wysypywał tyle grubej szarej soli, że zupa stawała się gorzka i niemożliwa do zjedzenia. A kiedy po obiedzie życie we dworze zamierało, kiedy wszyscy rozchodzili się po ulubionych zakątkach i kładli się na długo spać, osamotniony Piotr Kiriłowicz, nieśpiący nawet w nocy, nie wiedział, co ze sobą zrobić. Nie mogąc znieść samotności, zaglądał do sypialń, do sieni, do pokojów dziewcząt i ostrożnie wołał:

— Arkasza, śpisz? Toniusia, śpisz?

A na gniewny okrzyk: „Niechże mi ojciec, na miłość boską, da spokój!”, pośpiesznie uspokajał:

— No śpij, duszyczko, śpij, śpij! Ja ciebie nie budzę...

I odchodził. Mijał kredensowy, gdyż lokaje to „ludzie bardzo ordynarni”, a po dziesięciu minutach znowu zjawiał się na progu i wołał jeszcze ostrożniej, wymyślając różne brednie: że przez wieś ktoś przejechał powozem z dzwonkami, „Czy to nie Piotruś na urlop z pułku?”, że się zbiera straszna gradowa chmura...

— Bardzo się, gołąbek, bał takiej burzy — opowiadała Natalia. — Byłam jeszcze małą dziewczynką z warkoczykami, a pamiętam. Dom nasz był jakiś taki czarny, niewesoły, no niech go tam! A dzień letni długi bywa niczym rok... Służby mieliśmy mnóstwo, samych lokajów pięciu... Po obiedzie państwo, wiadomo, kładło się, a my za nim także... Dziewuchy, bywało, w swojej izbie postukają dla fasonu po obiedzie klockami do robienia koronek, postukają, napuszczają puchu (u nas się ciągle pierzyny napychało) i już się kładą, gdzie która może. A lokaje to wprost byli bezczelni; siedzą sobie w kredensowym, plotą bicze, wiążą sieci na przepiórki, rzną na bałałajkach. I tyle całej roboty! A potem najedzą

Szaleństwo

Samotność

²⁸dusza — tu: w carskiej Rosji chłop pańszczyźniany. [przypis edytorski]

²⁹safianowy — zrobiony z safianu, miękkiej skóry kozłowej lub baraniej. [przypis edytorski]

się tłokna³⁰ z lemieszką³¹ i spać! Piotr Kiryłowicz omijał ich, a zwłaszcza nie przechodził blisko Gerwazego. Czasem zawołał: „Lokaje! Lokaje! Śpicie?”. A Gerwazy podnosił głowę ze skrzyni i pytał: „Chcesz, żeby ci pokrzywy w mordę napchać?”. „Do kogo ty to mówisz, próżniaku jeden?”. „A do złego ducha, panie, tak mi się ze snu zwidziało...”. Więc Piotr Kiryłowicz przychodził częściej do nas. „Arkasza, śpisz? Natka, śpisz?”. Aż się człowiek zrywał i trząsł się cały... A on na to: „No śpij, duszyczko, śpij, ja ciebie budzić nie będę...”. I pójdzie, pochodzi po sali, po bawialni, popatrzy przez okna do ogrodu, czy nie zbiera się na burzę... A burze to, co prawda, dawniej zrywały się często. I to burze straszne. Czasem, bywało, jak nie zakrzyczy po obiedzie wilga, jak nie zaciągnie się niebo za ogrodem chmurami... W domu wtedy robi się ciemno, chwasty i wysoka pokrzywa zaczynają szeleścić, indyczki z indyczętami gdzieś się pochowają pod balkon... Aż strach bierze! A Piotr Kiryłowicz, ojczulek, wzdycha, żegna się, zapala świeczkę przed obrazami, wiesza w oknie ręcznik po nieboszczyku pradziadku... Bałam ja się tego ręcznika, och, bałam się śmiertelnie! Albo weźmie nożyczki i rzuci za okno. To przede wszystkim, to najważniejsza rzecz: nożyczki pomagają na burzę. Ale potem, bywało, człowiek do pasa się poparzył, kiedy pan kazał włożyć po nie w pokrzywy, w ten ogień, co taki rósł u nas ogromny!

Burza, Zabobony, Strach

W suchodolskim dworze było weselej, kiedy w nim mieszkali Francuzi. Z początku zjawił się jakiś „Lui” Iwanowicz, mężczyzna w szerokich spodniach zwężonych u dołu, z długimi wąsami i marzącymi niebieskim oczami, zaczesujący włosy na łysinie od jednego ucha do drugiego i bez miłosierdzia bijący służbę cybuchem... Z nim razem zjawiła się podeszła już w wieku, wiecznie zziębnięta *mademoiselle*³² Sisi... We wszystkich pokojach huczał wtedy głos „Lui”, wrzeszczącego na Arkaszę: „Icz i fięcej ne fracaj!”. W szkolnym pokoju słychać było: „*Maître corbeau sur un arbre perché*...”³³, a na fortepianie uczyła się grać Tonia. Francuzi byli w Suchymdole przez osiem lat, a potem, żeby się Piotrowi Kiryłowiczowi nie nudziło, zostali w nim nawet wówczas, gdy dzieci odwieziono do gubernialnego miasta, i opuścili go dopiero przed samym ich powrotem na trzecie wakacje. Kiedy owo lato przeszło, Piotr Kiryłowicz nigdzie już nie wyprawił ani Arkaszy, ani Tonieczki; uważał, że wystarczy wysłanie tylko Piotrusia. I dzieci na całe życie zostały pozbawione i nauki, i dozoru...

Gość

— Ja byłam najmłodsza z nich wszystkich — mawiała Natalia czasami. — No, a Gerwazy i wasz ojczulek to byli prawie rówieśniki i, znaczy, wielkie przyjaciele-koledzy. Tylko, prawdę ludzie mówią, że wilk źle żyje z koniem. Zaprzyjaźnili się, przysięgli sobie tę przyjaźń na wieki wieków, nawet krzyżykami się zamienili, a Gerwazy wprędce³⁴ i namyślił o małym ojczulku waszego nie utopił w stawie! Gorący był, a przy tym pierwszy majster do różnych łajdactw. „Jakże to będzie”, powiada kiedyś do panicza, „to pan wyrośnie i będzie mnie bił?”. „Ano będę”. „O nie!”. „Jak to nie?”. „A no tak...”. I wymyślił taką rzecz: nad stawem, na samym skłonie góry, stała beczka, a Gerwazy nauczył Arkadiusza Piotrowicza włożyć w nią i tulać się w dół. „Najpierw panicz”, powiada, „potem ja...”. A panicz pomachał, włożył do beczki, odbił się i jak po-o-szedł...! Prosto w wodę! Matko Boża, królowo nieba! Tylko się za nim kurz podniósł niby słup dymu! Łaska boża, że niedaleko byli pastuchy...

Sługa, Przyjaźń

Dopóki w Suchymdole mieszkali Francuzi, dom miał wygląd zamieszkały. Za życia babki byli w nim jeszcze gospodarze, była władza i posłuszeństwo, były pokoje reprezentacyjne i do codziennego użytku, były dni powszednie i święta. Stan ten utrzymywał się jeszcze przy Francuzach. Ale gdy ci wyjechali, dom został zupełnie pozbawiony panów. Dopóki dzieci były małe, pierwsze miejsce pozornie zajmował jednak Piotr Kiryłowicz. Ale czyż mógł on zaradzić złemu? Kto właściwie panował — on nad służbą czy służba nad nim? Fortepian zamknięto, znikł obrus z dębowego stołu... Jadano teraz bez obrusa, a obiad podawano o najrozmaitszych porach. Sfora chartów nie dawała przejść w sieni.

Dom, Przemijanie, Upadek

³⁰tłokno a. tłukno — pierwotna potrawa słowiańska z gotowanego owsa lub jęczmienia. [przypis edytorski]

³¹lemieszka — ludowa potrawa kresowa z gotowanych ziemniaków i mąki, podawana z boczkim, cebulą i śmietaną. [przypis edytorski]

³²mademoiselle (fr.) — panna. [przypis edytorski]

³³*Maître corbeau sur un arbre perché* (fr.) — fragment bajki Ezopa (620–564 p.n.e.) *Kruk i lis* w przekładzie Jeana de La Fontaine’a (1621–1695), po polsku znanej w tłumaczeniu Ignacego Krasickiego (1735–1801). [przypis edytorski]

³⁴wprędce — prędko, wkrótce. [przypis edytorski]

Nikt się nie troszczył o czystość, toteż ciemne belki ścian, ciemne podłogi i sufity, ciemne ciężkie drzwi i odrzwia, stare obrazy, zajmujące swymi suzdalskimi obliczami cały kąt w sali — wszystko szerniało teraz do reszty. Nocami, zwłaszcza w czasie burzy, kiedy ogród szumił pod deszczem, oblicza ikon różniły się od czasu do czasu; migoczące różowo-złote niebo nad ogrodem jakby się na chwilę otwierało, a potem, wśród trzasku, wśród ciemności, uderzały pioruny... W nocy straszno było w starym dworze, a w dzień — sennie, pusto i nudno. Z biegiem lat Piotr Kiryłowicz stawał się coraz słabszy, coraz mniej znaczył w domu, a właściwą gospodynią stała się starowina Daria Ustinowna, mamka dziadka. Ale władza jej niewiele się różniła od władzy pana, a ekonom Demian nie wtrącał się do prowadzenia domu; jego rzeczą była gospodarka rolna, o której mawiał niekiedy z leniwym uśmieszkiem: „No cóż! Ja tam nie krzywdzę moich państwa!”. Toniusia podrosła, już była Darię Ustinownę, ale dziewczuchy miały ją jeszcze za nic. Ojciec, dorastający młodzieniec, nie myślał o Suchymdole: szalał na punkcie polowania, bałajki i miłości do Gerwazego, który, chociaż uważany był za lokaja, ale po całych dniach przepadał z nim gdzieś w jakichś błotach Mieszczerskich³⁵ albo w wozowni, gdzie się wspólnie doskonalili w grze na harmonii i bałajce.

— Myśmy już wiedzieli — mówiła Natalia — że pan w domu to jedynie sypia. Ale jeżeli nie śpi, na pewno jest albo na wsi, albo w wozowni, albo na polowaniu. W zimie bywały zajęce, jesienią lisy, latem przepiórki, derkacze. Panicz siadał sobie na lekką bryczuszkę, zarzucał strzelbę na ramię, wołał Dianę i z Bogiem. Jednego dnia do Środkowego Młyna, drugiego na Mieszczerskie błota, trzeciego w step! A zawsze z Gerwazym. Już to on pierwszy namawiał do wszystkiego, a opowiadał, że panicz ciągnie jego. Arkadiusz Piotrowicz kochał tego swego wroga po prostu niby prawdziwego brata, a ten, im dalej, tym więcej drwił z niego. Czasem panicz powie: „Wiesz co, Gerwazku, zagrajmy na bałajkach! Naucz mnie, proszę cię na wszystko, tej piosenki *Zaszło czerwone słońce za lasem...* A Gerwazy patrzy na niego, puszcza dym przez nos i mówi kpiąco: „Mówić to jeszcze mało. Niech pan przedtem pocałuje mnie w rękę”. Arkadiusz Piotrowicz aż zblednie i jak się nie zerwie, jak go nie trzaśnie z całej siły w pysk...! A on tylko głową rzuci i robi się jeszcze więcej ponury, niby rozbójnik jaki... „Wstawaj, niegodziwy!”. Gerwazy wstaje, przeciąga się jak chart, pluszowe spodnie na nim wiszą... Milczy. „Przepraszam, panie!”... A panicz aż się dusi i nie wie, co dalej mówić. „Teraz to «pan»!”, krzyczy. „To ja z tobą obchodzę się jak z równym... Czasem myślę, że duszę za ciebie oddałbym... A ty co...? Ty mnie naumyślnie doprowadzasz do gniewu? Naumyślnie?”

— Dziwna rzecz! — mówiła Natalia. — Z panicza i z dziadka szydził Gerwazy, a ze mnie panienka. Panicz, a prawdę mówiąc i sam dziadek, ogromnie lubili Gerwazego, a ja znów, kiedy wróciłam z Soszek i trochę się opamiętałam po moim grzechu, przepadałam za panną.

V

Od owego grzechu zaczęła się jej miłość. I cała suchodolska dusza ujawniła się w tej miłości.

Z harapami zasiadano do stołu już po śmierci dziadka, po ucieczce Gerwazego, po ożenieniu się Piotra Piotrowicza oraz po tym, gdy ciocia Tonia zwariowała i uważała się za oblubienicę Najśłodszego Jezusa, potem, gdy Natalia wróciła z owych Soszek. Właśnie z powodu miłości ciocia zwariowała i za miłość Natalia została zesłana.

Nudne ciężkie czasy dziadka minęły i zaczęło się panowanie młodych. Piotr Piotrowicz, nieoczekiwanie przeniesiony w stan nieczynny, powrócił do Suchegodołu, a przyjazd jego okazał się zgubny w skutkach zarówno dla cioci Toni, jak dla Natalii.

Obydwie się zakochały i nawet nie wiedziały, jak to się stało.

Zrazu wydawało im się tylko, że życie teraz zrobiło się jakoś weselsze. Po raz pierwszy poczuły, że są dziewczętami i całkowicie poddały się urokowi tego odkrycia.

Piotr Piotrowicz z początku zmienił życie w Suchymdole na świąteczne i pańskie. Przyjechał z kolegą Wojtkiewiczem, przywiózł ze sobą kucharza, wygolonego pijaka o wodnistych, błyszczących oczach, spoglądającego zezem pogardliwie na zzieleniałe, powygi-

³⁵*błota Mieszczerskie* — prawdopodobnie chodzi o błota na brzegach średniego biegu Oki, zamieszkanych przez lud Mieszczeran, mówiący językiem mieszczerskim. [przypis edytorski]

Sługa, Przyjaźń

Miłość niespełniona,
Szaleństwo, Grzech

nane formy do galaret, na ordynarne widelce i noże. Piotr Piotrowicz chciał pokazać towarzyszowi, jaki jest gościnny, hojny i bogaty, lecz robił to nieumiejętnie i jakoś infantylnie. Zresztą był jeszcze prawie dzieckiem, chłopcem bardzo na pozór delikatnym i ładnym, lecz z natury surowym i okrutnym, śmiałym i pewnym siebie, którego można było z łatwością doprowadzić do łez z zakłopotania, a wówczas długo nosił w sobie utajoną złość do tego, kto sprawił, że tak się zmieszał.

— Pamiętam, bracie Arkadiuszu — powiedział przy obiedzie pierwszego dnia swego pobytu w Suchymdole — pamiętam, że mieliśmy w piwnicy niezłą maderę³⁶?

— Jaką maderę?!

A Gerwazy beczelnie i z uśmiechem popatrzył na Piotra Piotrowicza.

— Jasnie pan raczył zapomnieć! — powiedział do Arkadiusza, nie starając się nawet skryć uśmiešku. — Tak jest, madery było tyle, że nie wiedzieliśmy, gdzie ją podziać. Ale myśmy ją, głupi, wypili. Wino pańskie, a my je z głupoty, zamiast kwasu...

— A to co?! — krzyknął Piotr Piotrowicz i ciemny rumieniec załął mu twarz. — Milczeć!

— Tak, tak, Piotrusiu! — podchwycił z uciechą dziadek. — Dość tego! — wykrzyknął radośnie ciekim głosem i o mało się nie rozplakał. — Nawet wyobrazić sobie nie możesz, jak on mnie poniża! Myślałem już kilka razy, żeby się podkraść i rozbić mu głowę miedzianym tłuczkiem... Jak Boga kocham, takem myślał! Ja mu kiedy aż do nasady wbiję kindżał³⁷ w bok!

Ale Gerwazy natychmiast znalazł odpowiedź.

— Słyszałem — rzekł, spochmurniawszy — że za to jest ciężka kara. Bo i mnie także nieraz do głowy przychodzi, że pora jasnie panu na tamten świat!

Piotr Piotrowicz opowiadał, że tylko ze względu na obecność obcego człowieka powstrzymał się wobec takiej niespodziewanej a beczelnej odpowiedzi. Rozkazał tylko Gerwazemu: „Wynoś mi się w tej chwili!”, a potem zawstydził się nawet tej gwałtowności i, śpiesznie przepaszając Wojtkiewicza, patrzył na niego z uśmiechem swymi czarującymi oczami, których nie mógł zapomnieć nikt, kto znał Piotra Piotrowicza.

I nie mogła ich też zapomnieć bardzo długo Natalia. Szczęście jej było niezwykle krótkie, a któż mógł przewidzieć, że zakończy się ono podróżą do Soszek, owym najdonioślejszym zdarzeniem w jej życiu?

Chutor Soszki istnieje do dzisiaj, chociaż dawno przeszedł w ręce kupca z Tambowa³⁸. Pośrodku pustej równiny stoi tam długa chata, stodoła, gumno i studnia z żurawiem, a wokół ciągną się plantacje arbuzów. Tak samo wyglądał chutor za czasów dziadka. Mało też zmieniło się miasto leżące po drodze z Suchegodołu.

Przewina Natalii polegała na tym, że — zupełnie niespodziewanie dla siebie samej — ukradła składane, oprawne w srebro lusterko Piotra Piotrowicza. Pewnego dnia zobaczyła owo lusterko; poczuła się nim tak oczarowana (jak zresztą wszystkim, co należało do Piotra Piotrowicza), że nie mogła się oprzeć pokusie. Przez kilka dni, zanim zorientowano się, że zwierciadelfko zginęło, żyła oszołomiona przestępstwem, które popełniła, we władzy swej strasznej tajemnicy i skarbu, podobnego do owego czerwonego kwiatka z bajki³⁹. Kładąc się spać, prosiła Boga, żeby noc minęła jak nja prędzej, żeby przyszedł ranek. W domu było świętecznie — ożył i napełnił się czymś nowym i cudnym wraz z przyjazdem panicza. takiego pięknego, eleganckiego, wypomadowanego, w wysokim czerwonym kołnierzu przy mundurze, z twarzą smagłą. a tak delikatną jak u panienki. Święteczny nastrój był nawet w przedpokoju, gdzie spała Natasza. Zeskakując o świcie ze skrzyni, przypomniała sobie od razu, że świat jest dlatego radosny, że przed progiem czekają na oczyszczenie tak leciutkie butki, iż nosić je mógłby choćby carski syn... A najbardziej świętecznie i strasznie było za sadem w opuszczonej łaźni, gdzie leżało schowane podwójne lusterko w ciężkiej srebrnej ramie... I tam, gdy wszyscy jeszcze spali, biegła Natasza ukradkiem po zroszonych trawach... Biegła, żeby się rozkoszować posiadaniem

Pozycja społeczna

Kradzież, Lustro,
Tajemnica, Miłość, Wina

³⁶*madera* — wzmacniane wino portugalskie. [przypis edytorski]

³⁷*kindżał* — długi nóż lub sztylet, popularny wśród ludów kaukaskich i tureckich. [przypis edytorski]

³⁸*Tambow* — rosyjskie miasto, centrum obwodu tambowskiego na obszarze Centralnego Okręgu Federalnego. [przypis edytorski]

³⁹*czerwony kwiatek z bajki* — prawdopodobnie chodzi o motyw z baśni rosyjskiej *Czerwony kwiatusek* (ros. *Аленький цветочек*) autorstwa Siergieja Aksakowa (1791–1859). [przypis edytorski]

skarbu, żeby go wynieść na próg, otworzyć w gorącym porannym słońcu i napatrzeć się na siebie do zawrotu głowy, a potem znów go ukryć, schować i pobiec z powrotem... I później cały ranek potem usługiwała temu, na którego nie śmiała nawet podnieść oczu. A przecież dla niego oglądała się w lustrze, w szalonej nadziei, że mu się może spodoba.

Ale bajka o czerwonym kwiatku skończyła się prędko, bardzo prędko. Skończyła się hańbą i wstydem, dla którego określenia nie ma dość silnych słów, jak myślała Natasza, gdyż wszyscy odkryli najtajniejszy skarb, jaki skrywała w swej duszy. Skończyło się na tym, że sam Piotr Piotrowicz kazał ostrzyć ją i oszpecić — ją, która się stroiła, czerniła brwi przed lusterkiem i stwarzała jakąś słodką tajemnicę, jakąś niebywałą bliskość pomiędzy sobą a nim. On sam odkrył jej przestępstwo i zrobił zwykłe złodziejstwo z głupiego wybryku dworskiej dziewczyny, którą w śmiertelnej koszuli, z twarzą zapuchniętą od płaczu, w obecności całej służby wsadzono na wóz od gnoju i pohańbioną, oderwaną raptownie od wszystkiego, co jej było bliskie, wywieziono do jakiegoś nieznanego straszego chutoru, w odległy step. Wiedziała, że ma tam pilnować kurcząt, indyczek i ogrodu; wiedziała, że ją tam zapomnianą przez cały świat słońce spali na wiór; wiedziała, że dni w stepie długie będą jak lata, kiedy horyzont drga w upale, a tak jest gorąco i spokojnie, że człowiek spałby jak martwy przez cały dzień. Spałby, gdyby nie był zmuszony do słuchania cichego trzasku wysuszonego grochu, pracowitej grzebaniny kokoszek w gorącej ziemi i jednostajnie smutnego wołania indyczek; gdyby nie trzeba było też uważać na sunący górą groźny cień jastrzębia i co chwila zrywać się i krzyczeć cienkim przeciągłym głosem: „A sio! A sio-o-o!”. W chutorze mieszkała tylko stara chłopka, Ukrainka, której dano władzę nad życiem i śmiercią Nataszy, a która pewno z niecierpliwością czekała na swą ofiarę! Natasza miała tylko ten jedyny przywilej w porównaniu ze skazanymi na śmierć: mogła się powiesić. I tylko ta myśl podtrzymywała ją na duchu przez cały czas podróży na zesłanie — dożywotnie, jak naturalnie przypuszczała.

Czego się nie napatrzyła w drodze z jednego końca powiatu na drugi! Ale co ją to obchodziło! Myślała, a raczej czuła tylko to jedno — że życie skończone, a hańba i wstyd są zbyt wielkie, aby można było mieć nadzieję, że jakoś się to wszystko przecież ułoży! Na razie miała przy sobie człowieka bliskiego, Jewsieja Bodulię. Ale co będzie, gdy odda on ją tej chłopce, gdy przenocuje i odjedzie, porzucając ją samą w obcym miejscu? Napłakawszy się, poczuła głód. I Jewsiej, spojrzawszy na jedzącą, zaczął ku jej zdziwieniu także coś jeść, a przy tym rozmawiać z nią tak zwyczajnie, jakby nic się nie stało. Potem zasnęła i obudziła się dopiero w mieście. Miasto ją tylko zdumiało swą nudą, suszą, dusznością i jeszcze czymś niewyraźnym, lecz strasznym, czymś przygniatającym, podobnym do snu, którego nie można opowiedzieć. W ciągu tego dnia Natalia zapamiętała jedynie, że latem w stepie jest bardzo upalnie i że nie istnieje na świecie nic dłuższego od nieskończonych letnich dni oraz szerokich zakurzonych dróg. Zapamiętała również, że na miejskich ulicach gdzieś tam są miejsca wybrukowane kamieniami, na których wóz bardzo dziwnie turkocze. Zapamiętała, że miasto już z daleka pachnie żelaznymi dachami, a na placu, gdzie zatrzymali się, aby nakarmić konia, i obok pustych już pod wieczór straganów z wiktuałami unosił się zapach kurzu, dziegciu⁴⁰ i gnijącego siana, którego kłaki zbite z końskim nawozem zostają zawsze na chłopskich postojach. Jewsiej wyprzągnął konia i przywiązał go do wozu, aby się najadł, po czym zsunął z czoła grzejącą go czapkę, wytarł pot rękami i z twarzą aż pociemniałą ze zmęczenia poszedł do szynku. Surowo, jak najsurowiej, kazał Nataszce dawać baczenie na wóz, a w razie czego wrzeszczeć na cały plac. I dziewczyna siedziała nieruchoma, przybita jakimiś tępych myślami, nie spuszczała oczu z kopuły świeżo wybudowanego soboru, która niby ogromna srebrna gwiazda górsała daleko za domami. Siedziała tak długo, dopóki nie wrócił rozweselony Jewsiej; żując coś i trzymając pod pachą kołacz, zaczął znów ustawiać konia pomiędzy dyszlami.

— Spóźnił się, królowo moja — mrucał z ożywieniem, zwracając się ni to do konia, ni to do Nataszy. — No, ale może jakoś nas nie powiesz za to! Przecież się nie pali... A z powrotem także nie polecę na złamanie karku. Dla mnie, bracie, pański koń droższy od całej twojej mordy — mówił, pijąc teraz wyraźnie do Demiana. — Jak to rozpuścił gębę: „Zapamiętaj sobie, w razie czego potrafię ja dobrać ci się do skóry...”!

⁴⁰dziegieć — gęsta, smolista substancja o charakterystycznym, przykrym zapachu, wytwarzana przez suchą destylację kory i drewna, używana do celów leczniczych oraz do impregnacji materiałów, uszczelniania beczek, jako smar, klej itp. [przypis edytorski]

Hańba, Kara, Wygnanie

Podróż, Miasto, Karczma

Ho-ho-ho! Myślę sobie... Tego to już za dużo! Ze mnie portek dotąd jeszcze nawet państwo nie ściągali... To skąd ty do tego, ty diable rogaty? „Zapamiętaj sobie”! A co mam pamiętać? Nie głupszym od ciebie. Jak zechcę, to w ogóle nie wrócę; dziewczuchę odstawię, a sam: krzyżyk na drogę i tyle mnie widzieli... A jej także się dziwuję; czego się, głupia, martwi? Cóż to, świat klinem się zeszedł? Jak będą koło chutoru przechodzili koniuchy⁴¹ albo jakie dziady, wystarczy jedno słowo i w tej chwili będzie za Rostowem⁴²... A tam szukaj wiatru w polu...!

Ucieczka

I myśl „Powieszę się” ustąpiła w ogolonej głowie Nataszki miejsca planom ucieczki. Wóz zaskrzypiał i zakołysał się, Jewsiej umilkł i poprowadził konia do studni pośrodku placu. Po stronie, z której przyjechali, słońce zachodziło za dużym klasztornym ogrodem i okna w żółtym więzieniu, stojącym naprzeciwko klasztoru, połyskiwały złotem. Widok więzienia na chwilę rozniecił myśl o ucieczce. Ot, jednak ludzie, którzy uciekli, także żyją! Tylko opowiadają po świecie, że dziady wypalają wrzącym mlekiem oczy kradzionym dziewczętom i dzieciom, żeby ich potem pokazywać „za kaleki”, a znów koniuchy wywożą je nad morze i sprzedają poganom... Bywa także, że państwo złapią takich zbiegów, zakują w kajdany i wsadzą do więzienia... Ale przecież i w kryminale nie zwierzęta, a ludzie, jak mówi Gerwazek!

Ale okna w więzieniu gasły i myśli się płątały: nie, uciekać jeszcze gorzej niż się powiesić! Umilkł także i wytrzeźwiał Jewsiej.

— Spóźnił się, dziewczucho — mówił teraz już z niepokojem, wskazując boki na przód wozu.

Wóz, wydostawszy się na szosę, znowu zaczął się trząść, chybotać i głośno turkotać po kamieniach... „Ach, najlepiej byłoby zawrócić z powrotem”, na wpół myślała, na wpół czuła Nataszka. Zawrócić, dojechać do Suchegodołu i upaść państwu do nóg! Ale Jewsiej poganiał. Gwiazdy za domami już nie było. Przed jadącymi biała naga droga, białł bruk, białły domy. A u wylotu szosy wznosił się ogromny nowy sobór, okryty równie nową kopułą z białej blachy, nad którą niebo rozpościerało się jasno — błękitne, bezobłoczne... Tam, w domu, o tej porze jest już rosa, ogród wonieje świeżością, idą zapachy z kuchni, w której gotuje się wieczerza... Daleko za polami zbóż, za srebrzystymi topolami na skraju ogrodu, za starą zapomnianą łązną dogasa zorza, a w bawialni otwarte są drzwi na balkon i purpurowy blask miesza się w kątach pokoju z mrokiem... Panienska śniada, czarnooka, podobna i do dziadka, i do Piotra Piotrowicza, poprawiając co chwila rękawy u lekkiej szerokiej sukni z pomarańczowego jedwabiu, nie odrywa oczu od nut, siedząc plecami do zorzy, uderzając w żółte klawisze, napełniając bawialnię uroczyście śpiewnymi i namiętne rozpaczynymi dźwiękami poloneza Ogińskiego⁴³... Niby to nie zwraca żadnej uwagi na stojącego za nią oficera, krępego, o ciemnej twarzy, trzymającego się pod bok lewą ręką i w mrocznym skupieniu patrzącego na jej zwinne palce...

Dom, Wspomnienia,
Tęsknota

„Ona ma swojego, a ja swojego”, na wpół myślała, na wpół czuła w takie wieczory Nataszka. I z zamierającym sercem biegła do chłodnego ogrodu, tonącego w rosie, zaszływała się w gąszcz pokrzyw i mocno pachnących wilgotnych łopianów. Stała i czekała na coś, co się stać nie mogło: czekała, że z balkonu zejdzie panicz, pójdzie aleją, ujrzy ją nagle, zbliży się szybkimi krokami, a ona ze strachu i szczęścia nie zdoła wydobyć z siebie ani słowa...

Miłość niespełniona,
Marzenie

Wóz dalej turkotał po bruku. Wokoło było miasto, gorące i śmierdzące, które dawniej wydawało się czymś czarownym. Z bolesnym zdumieniem spoglądała Natalia na wystrojony tłum, snujący się w jedną i w drugą stronę po bruku obok domów, bram i otwartych drzwi sklepików... „Po cóż ten Jewsiej pojechał tędy?”, myślała. „Jaka to odwaga, żeby tutaj jechać z takim hałasem!”

Przejechali obok cerkwi i po zakurzonych wyboistych zboczach wzdłuż czarnych kuźni. W pobliżu przegniłych podmiejskich lepierek skierowali się ku płytkiej rzece. Powiało znajomym zapachem zamulonej ciepłej wody, szlamem, wieczorną świeżością pól. W oddali, na przeciwnym zboczu góry, w samotnym domku w pobliżu rogatki błysnęło

⁴¹koniuch — pastuch koni. [przypis edytorski]

⁴²Rostów — prawdopodobnie chodzi o Rostów nad Donem, miasto w południowej Rosji nad Morzem Azowskim. [przypis edytorski]

⁴³Ogiński, Michał Kleofas (1765/1764–1833) — polski kompozytor teoretyk muzyki i pisarz polityczny, autor słynnego poloneza a-moll *Pożegnanie Ojczyzny*. [przypis edytorski]

pierwsze światelko... Wreszcie wydostali się na otwarte pole, przejechali przez mostek, podjechali do rogatki i ujrzeli przed oczami kamienną pustą drogę, bielejącą niewyraźnie i uciekającą w nieskończoną dał, w siność stepowej chłodnej nocy. Koń przeszedł w drobny truchcik, a minawszy rogatkę, powlókł się noga za nogą. I znowu słychać było, jak cicho w nocy jest na ziemi i w niebie, a tylko gdzieś daleko płacze dzwoneczek. Dźwięki jego stawały się coraz wyraźniejsze, coraz bardziej śpiewne i zwały się wreszcie ze zgodnym tętentem jadącej naprzeciw trojki, z miarowym stukotem kół toczących się po szosie i zbliżających się szybko. Trojką powoził młody stangret, a w bryczce siedział oficer z brodą schowaną w kołnierz płaszcza z kapturem. Zrównawszy się z wozem, podniósł na chwilę głowę i nagle Natasza zobaczyła czerwony kołnierz, czarne wąsy i młode oczy, świecące spod czapki podobnej do skopka... Krzyknęła, zamarła z wrażenia i straciła przytomność...

Mignęła jej przez głowę szalona myśl, że to Piotr Piotrowicz... I po tym bólu oraz tklivości, która na kształt błyskawicy przeszła jej wrażliwe serce dworskiej służki, dziewczyna pojęła nagle, co straciła: możliwość przebywania w jego pobliżu... Jewsiej rzucił się na pomoc i wodą z podróżnego dzbana polał jej ogoloną, bezwładnie odrzuconą głowę.

Ocknęła się pod wpływem mdłości i pośpiesznie przewiesiła głowę przez krawędź wozu, a Jewsiej podłożył jej dłoń pod zimne czoło...

Potem, gdy zrobiło jej się lepiej, leżała na plecach zziębnięta, z mokrym kołnierzem, i patrzyła na gwiazdy. Wystraszony Jewsiej milczał, przypuszczając, że zasnęła; kiwał głową i popędzał, popędzał konia... Wóz trząsł się i toczył, a dziewczynie zdawało się, że wcale nie ma teraz ciała, lecz tylko duszę. I duszy tej było „tak dobrze, jak w niebie...”.

Miłość jej przypominała ów czerwony kwiatek, rozkwitły w ogrodach z bajki. A zawiozła ją Natasza w step, w pustkowiu jeszcze bardziej beznadziejne niż w Suchymdole. I tam, w ciszy i samotności, zwalczyła pierwsze słodkie i palące jej męki, a potem na długo, na zawsze, do grobowej deski pochowała ją w głębi swej suchodolskiej duszy.

Miłość niespełniona

VI

Niezwykła była miłość w Suchymdole, niezwykła też była nienawiść. Dziadek, który zginął równie bezsensownie jak jego zabójca — jak wszyscy, którzy marnowali się w Suchymdole — zabity został w tym samym roku. Na Matkę Boską Nieustającej Pomocy⁴⁴, w dzień odpustu w Suchymdole, Piotr Piotrowicz sprosił gości i bardzo się denerwował, czy będzie marszałek, który dał mu słowo, że przyjedzie. Dziadek, również nie wiadomo dlaczego, cieszył się i denerwował. Marszałek przyjechał i obiad udał się wspaniale. Głośno było i wesoło, a dziadek weselił się najbardziej ze wszystkich. Z rana, drugiego października, znaleziono go martwego na podłodze w bawialni.

Nienawiść, Śmierć

Przechodząc w stan spoczynku, Piotr Piotrowicz nie ukrywał, że się poświęca dla ratowania honoru Chruszczowów, rodowego gniazda i rodzinnego majątku. Nie ukrywał, że „mimo niechęci” musi wziąć w ręce gospodarstwo, że musi porobić znajomości, aby nawiązać stosunki z najbardziej wykształconą i rozumną szlachtą w powiecie, a z pozostałą po prostu nie zerwać kontaktu. I z początku wszystko to spełniał jak najdokładniej; odwiedził wszystkich, nawet najdrobniejszych, ziemian i chutor ciotuni Olgi Kiryłowny, potwornie grubej baby, cierpiącej na śpiączkę i czyszczącej zęby tabaką. Jesienią nikt się już nie dziwił, że Piotr Piotrowicz zarządza majątkiem samowładnie. Stracił zresztą wygląd pięknego oficera, który przyjechał na urlop, i wyglądał teraz jak gospodarz, jak młody ziemianin. W chwilach zakłopotania nie oblewał się już tak ciemnym rumieńcem jak dawniej. Dbał o siebie, utył i nosił drogie szlafroki; drobne stopy tkwiły w czerwonych tatarskich pantoflach, a małe ręce ozdobione były turkusowymi pierścieniami. Okazało się, ku zdumieniu wszystkich, że piękne jego oczy nie są czarne, lecz piwne, jakie zwykle miewają ludzie o ciemnej cerze. Arkadiusz Piotrowicz nie wiadomo dlaczego krępował się, patrząc w te oczy; nie wiedział o czym ma z bratem mówić. Z początku ustępował Piotrowi Piotrowiczowi i całymi dniami przepadał na polowaniu.

Gospodarz, Dziedzictwo, Przemiana

Na ową Matkę Boską Piotr Piotrowicz chciał wszystkich oczarować swoją gościn-

Gospodarz, Gość

⁴⁴*Matka Boska Nieustającej Pomocy* — czczony w Kościele katolickim i prawosławnym wizerunek (ikona) Maryi, oryginał z XIV/XV wieku znajduje się w Rzymie; jej święto obchodzone jest 27 czerwca. [przypis edytorski]

nością, a przy tym pokazać, że właśnie on jest pierwszą osobą w domu. Ale dziadek ogromnie przeszkadzał. Był po prostu wniebowzięty ze szczęścia, ale nietaktowny, gadatliwy i budził litość swym wyglądem: odziany był w aksamitną czapkę z chwostem i w nowy, nadmiernie szeroki, granatowy kaftan, uszyty przez domowego krawca. Dziadek także uważał siebie za gościnnego gospodarza i krzątał się od samego rana, robiąc z przyjęcia gości jakąś głupią ceremonię. Jedna połowa drzwi z przedpokoju do salonu nigdy nie była otwierana. Teraz on sam odsunął żelazne zasuwki u góry i u dołu, sam przydźwigał krzesło i trzęsąc się, włożył na nie; a otworzywszy drzwi, stanął na progu i nie opuścił tego miejsca aż do przyjazdu ostatniego gościa, korzystając z milczenia Piotra Piotrowicza, który, chociaż zamierał ze wstydu i gniewu, postanowił wszystko przecierpieć. Dziadek nie spuszczał oczu z ganku (drzwi na ganek trzeba było otworzyć, gdyż tego również wymagał jakiś stary zwyczaj), zrywał się ze wzburzenia na widok każdego wchodzącego, rzucał mu się naprzeciw, pośpiesznie robił jakieś dziwaczne *pas*⁴⁵, podskakiwał, odrzucając nogę w tył, składał głęboki ukłon i jękając się, mówił do wszystkich, nawet do nieznajomych:

— Jakże się cieszę! Jakże się cieszę! Dawno nie był pan łaskaw! Witam! Witam!

Piotra Piotrowicza wściekało i to, że dziadek wszystkim opowiadał o wyjeździe ciotki Toni do Łuniewa, do Olgi Kyrilówny. „Toniusia choruje z tęsknoty... Pojechała na całą jesień do ciotuni...”. Co sobie mogli goście myśleć po takich nieproszonych wyjaśnieniach? Przecież historia z Wojtkiewiczem, naturalnie, znana już była w całej okolicy. A może Wojtkiewicz miał rzeczywiście poważne zamiary, zagadkowo wzdychając przy Toniusi, grając z nią na cztery ręce i czytając jej stłumionym głosem *Ludmiłę*...⁴⁶ albo mówiąc z posępnym zamyśleniem: „Z umarłym związana jesteś świętym ślubem...”. Ale Tonia wybuchała gwałtownie przy każdej najniewinniejszej próbie z jego strony, gdy pragnął wyrazić swe uczucia — choćby to było tylko ofiarowanie jej kwiatka — i Wojtkiewicz niespodzianie wyjechał. A kiedy wyjechał, Toniusia przestała spać po nocach, zaczęła po ciemku przesiadywać przy otwartym oknie, jakby czekając na jakiś jej tylko wiadomy znak, aby wybuchnąć głośnymi łzami i obudzić Piotra Piotrowicza. On zaś długo leżał, zaciskając zęby, słuchając tego łkania, słuchając drobnego szelestu topoli za oknami w ciemnym ogrodzie, szelestu podobnego do ustawicznego deszczu. A potem wstawał i szedł uspokajać. Przychodziły również zaspane dziewczęta dworskie, aby utulić płaczącą, a niekiedy przybiegał też wystraszony dziadek. Wówczas Tonia zaczynała tupać nogami i krzyknąć: „Odczepcie się ode mnie, wy moi wrogowie najgorsi!” i sprawa kończyła się wstrętną kłótnią, niemal bójką.

— Zrozumie — z wściekłością syczał Piotr Piotrowicz, wyrzuciwszy dziewczęta i dziadka, zatrzasknąwszy drzwi i mocno przytrzymując rygiel — zrozum, ty żmijo, co ludzie mogą sobie pomyśleć!

— Aj — nieludzkim głosem wykrzykiwała Tonia. — Ojczulku, on mówi, że ja chodzę z brzuchem!

I Piotr Piotrowicz, schwyciwszy się za głowę, wypadał z pokoju. A w ów dzień Matki Boskiej również nieomal wyrывał sobie włosy z głowy. Bał się także, aby Gerwazy nie zachował się impertynencko w odpowiedzi na czyjeś nieostrożne słowo.

Gerwazy strasznie urósł. Ogromny był i niezdarly, ale najsprytniejszy z całej służby i najbardziej zwracał uwagę. Wystroił się w granatowy kozacki kaftan, w takie same szarawary i w miękkie kozłowe buty bez obcasów. Włóczkową liliową chustkę zawiązał sobie na cienkiej ciemnej szyi. Czarne, grube, suche włosy zaczesane miał z boku na przedział, ale nie chciał ostrzyć się po chłopsku z grzywką i tylko przyciął je na okrągło. Golić nie miał co, bo na brodzie i z obu stron dużych ust czerniały mu tylko dwa czy trzy rzadkie twarde kłaczki; o tych jego ustach mówiono: „Gęba do uszu — tylko pętelki przyszyć!”. Wybijały, o bardzo szerokiej, płaskiej i kościstej piersi, z maleńką główką i głęboko osadzonymi oczami, z cienkimi popielatymi wargami i mocnymi niebieskawymi zębami, ten od pokoleń zrosnięty z Suchodołem chłop miał od dawna swe przezwisko — nazywano go chartem. Patrząc na jego wyszczerzone zęby i słuchając pokasływania, wielu

Sługa, Strach, Pozycja społeczna

⁴⁵*pas* (fr.) — krok. [przypis edytorski]

⁴⁶*Ludmiła*... — prawdopodobnie chodzi o poemat heroikomiczny Aleksandra Puszkina (1799–1837) z 1820 roku, *Ruslan i Ludmiła*, napisany w formie baśni. [przypis edytorski]

myślało: „Zdechniesz wkrótce, ty charcie!“. Ale na głos, wbrew zwyczajowi, mówiono do wyrostka z szacunkiem: „Gerwazy Afanasjewiczu“.

Państwo również go się bali. I oni mieli w charakterze tę samą cechę co i chłopci: mogli jedynie albo panować, albo się bać. Za bezczelną odpowiedź, którą dał dziadkowi w dzień przyjazdu Piotra Piotrowicza, Gerwazy, ku zdumieniu całego dworu, nie został ukarany. Arkadiusz Piotrowicz powiedział tylko krótko: „Stanowczo, bracie, bydlę z ciebie!“. Na co dostał równie krótką odpowiedź: „Nie cierpię go, paniczu!“. A do Piotra Piotrowicza Gerwazy przyszedł sam, stanął na progu, wyzywająco jak zwykle wyprężył się na swych nieproporcjonalnie długich nogach, odzianych w niesłychanie szerokie szarawary, i wysunawszy lewe kolano, poprosił, żeby go wychłostano.

— Grubianin jestem, panie, i taki już gorący... — rzekł obojętnie, przewracając czarnymi oczami.

A Piotr Piotrowicz, wyczuwszy przytyk w słowie „gorący“, stchórzył.

— Zdążę jeszcze, kochanku, zdążę! — krzyknął z udaną srogością. — Wynos się! Nie mogę patrzeć na ciebie, bezczelny!

Gerwazy powstał, pomilczał, wreszcie rzekł:

— Jak pan uważa...

Postał jeszcze, kręcąc twardy włos na górnej wardze; szczerzył jak pies niebieskawe zęby i, nie okazując na twarzy żadnego wrażenia, wyszedł. Od tej pory przekonał się o niezawodności tego sposobu: najlepiej nie ujawniać żadnych uczuć wyrazem twarzy i dawać jak najkrótsze odpowiedzi. A Piotr Piotrowicz zaczął unikać nie tylko rozmów z nim, ale nawet patrzenia mu w oczy.

Zachowanie Gerwazego było tak samo obojętne i zagadkowe w owym dniu Matki Boskiej. Wszyscy opadli z sił, szykując się do święta, wydając i przyjmując rozkazy, klęcząc, szorując podłogi, czyszcząc sinawą kredą ciężkie ciemne srebro ikon, rozdając kopniaki włączającym do sieni psom, obawiając się, że galarety nie zastygną, że nie starczy widelców, że przypalą się naleśniki i faworki; tylko Gerwazy uśmiechał się spokojnie i mówił do wściekającego się Kazimira, kucharza-pijaczyny: „Spokojnie, ojczy diakonie, bo ci kaftan pęknie!“.

— A pamiętaj, nie upij się — powiedział do Gerwazego z roztargnieniem Piotr Piotrowicz, denerwując się z powodu marszałka.

— Jak żyję, nie piłem — rzucił mu jak równemu sobie Gerwazy. — Wcale mnie nie ciągnie.

A potem przy gościach Piotr Piotrowicz wołał po prostu przypochleбно na cały dom:

— Gerwazy Afanasjewiczu! Nie odchodź, proszę, nigdzie, bez ciebie jak bez ręki!

A Gerwazek odzywał się z najwyższą grzecznością i godnością:

— Jaśnie pan raczy być spokojny. Nie ośmielę się nigdzie odejść.

Usługiwał jak nigdy. Najzupełniej usprawiedliwiał słowa Piotra Piotrowicza, mówiącego głośno do gości:

— Nie wyobrażają sobie państwo, jak bezczelny jest ten dryblas! A jednak jaki roztropny! Złote ręce!

Czyż mógł przypuszczać, że dolewa do kielicha ostatnią kroplę, która go przepęlni? Dziadek usłyszał te słowa. Zaczął szarpać kaftan na piersiach i nagle przez cały stół zawołał do marszałka:

— Ekscelencjo, proszę wyciągnąć pomocną rękę! Zwracam się jak do ojca ze skargą na mojego służącego! O, na tego: na Gerwazego Afanasjewicza Kulikowa! On mnie na każdym kroku poniża! On...

Przerwano mu, wytłumaczono, ulagodzono. Zdenerwował się dziadek do łez, ale wszyscy go z takim szacunkiem uspokajali (oczywiście żartobliwie), że ustąpił i znów poczuł się po dziecięcemu szczęśliwy. Gerwazek stał przy ścianie wyprostowany, ze spuszczonej głową i z lekką odwróconą twarzą. Dziadek widział, że ten olbrzym ma zbyt małą głowę i że byłaby ona jeszcze mniejsza, gdyby ją ogolono; tył czaszki wystawał i właśnie w tym miejscu włosy były najgęstsze, najgrubsze, czarne, ostro podcięte i tworzyły występ nad cienką szyją. Od słońca i wiatru na polowaniach ciemna twarz miejscami luszczyła się i pokryta była bladoliliowymi plamami. Dziadek wprawdzie rzucał z trwogą i lękiem spojrzenia na Gerwazego, ale mimo to radośnie wołał do gości:

Święto

— Dobrze, przebaczam mu! Ale za to nie wypuszczę was, drodzy goście, przez całe trzy dni! Za nic nie puszcze! A zwłaszcza proszę, żebyście nie wyjeżdżali pod wieczór. Kiedy wieczór się zbliża, taki jestem nieswój, taka nuda, taki strach! Chmurki zachodzą za lasem Troszyna... Mówią, że znowu złapano dwóch Francuzów Bonapartego⁴⁷... Ja na pewno umrę wieczorem, zapamiętajcie to sobie! To mi już przepowiedział Marcin Zadeka⁴⁸...

Ale umarł wczesnym rankiem.

Z wieczora wymógł jednak swoje: „ze względu na niego” dużo osób zostało na noc; przez cały wieczór pito herbatę, a konfitur nastawiono tak dużo i tak rozmaitych, że ciągle można było chodzić i próbować, chodzić i próbować. Potem otworzono stoły⁴⁹ i zapalono tyle spermacetowych⁵⁰ świec, że odbijały się we wszystkich zwierciadłach i pokoje pełne były dymu z pachnącego żukowskiego tytoniu, zgiełku i rozmów, a złościły się i błyszczały jak wnętrza cerkwi. Najważniejsze zaś, że wiele osób zostało na nocleg. Tak więc można było nie tylko oczekiwać nowego wesołego dnia, ale i nowych wielkich kłopotów i przygotowań — przecież bez niego, bez Piotra Kiriłowicza, nigdy by święto nie przeszło tak wspaniale, nigdy by się nie udał tak ożywiony i bogaty obiad!

„Tak, tak”, myślał zdenerwowany dziadek w nocy, zrzuciwszy kaftan, stojąc w swoim pokoju przed domowym ołtarzem z zapalonymi woskowymi świeczkami i patrząc na czarny obraz Merkuriusza. „Tak, tak, straszna jest śmierć dla grzesznika... Nie daj Boże umrzeć w gniewie!”

Ale w tejże chwili przypomniał sobie, że chciał myśleć o czymś innym; zgarbiwszy się i szepcząc pięćdziesiąty psalm, przeszedł po pokoju, poprawił tlejącą na nocnym stoliku lampeczkę, wziął do rąk psalterz i otworzywszy go, znowu z głębokim szczęśliwym westchnieniem podniósł oczy na świętego bez głowy. A wtedy przypomniało mu się, co chciał pomyśleć i rozjaśnił się w uśmiechu: „Tak, tak: kiedy stary żyje, toby go chcieli zabić, ale niechby go nie było, chcieliby go na pewno mieć!”

W obawie, że zaśni i nie zdąży wydać jakichś rozkazów, dziadek prawie nie spał. A wczesnym rankiem, kiedy w pokojach jeszcze nieposprzątanym i pachnącym tytoniem panowała ta szczególna cisza, która bywa tylko po zabawie, stary ostrożnie wstał, wyszedł boso do bawialni, troskliwie podniósł kilka kredek rozrzuconych wokoło otwartych zielonych stołów i aż cicho krzyknął z zachwytu, spojrzawszy w ogród za zamkniętymi drzwiami. Patrzył na jaskrawy blask chłodnego lazuru, na srebro szronu pokrywającego i balkon, i balustradę, i brązowe listowie na nagich zaroślach pod balkonem, i odległy dach łąni na krańcu ogrodu wśród topoli, które jeszcze nie zrzuciły liści. Otworzył drzwi i wciągnął powietrze — i z krzaków pachniało gorzkim i odurzającym jesiennym rozkładem, lecz zapach ten zatracił się w zimowym chłodzie. Wszystko było nieruchome, jakieś spokojne, prawie uroczyste. Słońce, zaledwie ukazujące się za wsią, oświetlało wierzchołki malowniczej alei, składającej się z na wpół nagich białopięnnych brzoź, obsypanych rzadkim drobnym złotem. Przepiękny i radosny był ten nieuchwytny liliowy ton w białych ozłoconych czubkach drzew rysujących się na tle błękitu. W chłodnym cieniu pod balkonem, po trawie zwarzonej przez mróz i posypanej jakby solą, chrzęszczącymi krokami przebiegł pies. Chrząst ten przypominał o zimie. Dziadek, z zadowoleniem poruszysz ramionami, wrócił do bawialni. Wstrzymując oddech, zaczął przesuwac i przestawiac meble, skrzypiące po podłodze, i niekiedy spoglądał przy tym w lustro, gdzie odbijało się turkusowe niebo. Nagle niedosłyszalnymi szybkimi krokami wszedł Gerwazy. Nie miał na sobie kaftana, zaspany był i „zły, niczym diabeł”, jak sam potem opowiadał.

Wszedł i odezwał się surowo, chociaż szeptem:

— Ciszej tam, ty... Czego się wtrącasz do nieswoich rzeczy?

Dziadek podniósł na niego wzburzoną twarz i z ową serdecznością, która go nie opuszczała przez cały poprzedni wieczór oraz noc, odpowiedział szeptem:

— No widzisz, Gerwazek, jakiś ty...! Ja ci wczoraj przebaczyłem, a ty zamiast być panu wdzięczny...

Zima, Świt, Piękno, Wieś,
Natura, Pies

Śmierć, Morderstwo, Sługa

⁴⁷Bonaparte, Napoléon (1769–1821) — francuski wojskowy i polityk, cesarz Francuzów. [przypis edytorski]

⁴⁸Zadeka, Marcin — wydawca senników, wspominany przez Aleksandra Puszkina (1799–1837) w utworze *Eugeniusz Oniegin*, żartobliwie nazywany przez autora „tłumaczem snów”. [przypis edytorski]

⁴⁹otworzono stoły — chodzi o składane stoliki do gry w karty. [przypis edytorski]

⁵⁰spermacetowy — zrobiony ze spermacetu, tłuszczu kaszalota. [przypis edytorski]

— Uprzykrzyłeś ty mi się, stary grzybie, jak choroba! — przerwał Gerwazy. — Puszczaj!

Dziadek ze strachem spojrział na tył jego głowy, występujący dziś jeszcze bardziej nad cienką szyją, sterczącą z kołnierza białej koszuli, ale zaczerwienił się tylko i zagroził sobą stół do kart, który chciał przenieść w kąt pokoju.

— To ty puść! — krzyknął z cicha, pomyślawszy chwilkę. — To ty powinienes ustąpić panu. Doprowadzisz mnie do tego, że wsadzę ci kiedy kindżał pod żebro!

— Ech! — ze zniecierpliwieniem mruknął Gerwazy i błysnąwszy oczami, z rozmachem uderzył dziadka w pierś.

Blat złożony był do połowy i stół stał na wpół otwarty. Dziadek poślizgnął się na gładkiej dębowej posadzce, zatrzepotał rękami — i skronią uderzył akurat w sam ostry kant stolika.

Ujrawszy krew, bezmyślnie zezujące oczy i otwarte usta, Gerwazy, sam nie wiedząc, dlaczego to robi, zerwał z jeszcze cieplej szyi dziadka złoty medalik i szkaplerzyk na zniszczonym sznureczku, obejrzał się wokoło i zdjął mu z małego palca obrączkę babki... Po czym szybko, niedosłyszalnie wyszedł z salonu — i znikł, jakby wpadł w wodę.

Jedynym człowiekiem z Suchegodołu, który go jeszcze potem w życiu widział, była Natalia.

VII

Podczas pobytu Natalii w Soszkach wydarzyły się w Suchymdole dwa ważne fakty: ożenił się Piotr Piotrowicz i obydwaj bracia poszli jako ochotnicy na wojnę krymską⁵¹.

Natalia powróciła po dwóch latach, kiedy wszyscy już o niej zapomnieli. Powróciwszy, nie poznała Suchegodołu, jak i jej nie poznał Suchydół.

Owego dnia letniego, kiedy wóz przysłany ze dworu zaskrzypiał przed chatą w chutorze i Nataszka wyskoczyła na próg, Jewsiej Bodulia wykrzyknął:

— To ty, Nataszka?

— A kto? — odpowiedziała z ledwie dostrzegalnym uśmiechem.

Jewsiej pokręcił głową:

— Och, jakaś ty się zrobiła brzydka!

A Natasza właściwie stała się tylko niepodobna do dawniejszej: dziewczynka o ogolonej głowie, o twarzy okrągłej i jasnych oczach zmieniła się w niewysoką smukłą pannę, szczupłą lecz nie chorobliwie chudą, powściągliwą w pytaniach i odpowiedziach. Była bosa, w haftowanej koszuli i starej płachcie, a chociaż ciemna chustka zakrywała jej czoło po naszymu, słońce ją opaliło i pokryło twarz drobnymi piegami koloru prosa. A Jewsiejowi, rdzennemu mieszkańcowi Suchegodołu, naturalnie wydała się nieładna i ta ciemna chusteczka, i opalenizna, i piegi. Zresztą ona sama wiedziała, że nie jest ładna, a jednak każdy mógł wywnioskować z owego drwiącego uśmiešku, z jakim powiedziała: „A kto?”, że dumna jest z tych zaszłych w niej zmian i nawet jak gdyby zadowolona, że przestała być ładna.

Po drodze do Suchegodołu Jewsiej powiedział:

— No widzisz, dziewucho, dorosła z ciebie panna. Chcesz za mąż iść?

Ale ona tylko pokręciła głową.

— Nie, wuju Jewsiej, nigdy nie pójdę.

— Niby dlaczego? — zapytał Jewsiej i aż wyjął fajkę z ust.

Nie spiesząc się, na wpół poważnie, na wpół żartobliwie Natasza wyjaśniła, że przecież nie wszystkim sądzone za mąż wyjść, że oddadzą ją pewnie panience, a panienka poświęciła się Bogu i, znaczy, jej także za mąż wyjść nie pozwoli; zresztą ona, Natasza, miała już nieraz sny bardzo wyraźne...

— Cóż ci się śniło? — spytał Jewsiej.

— Ot tak, głupstwa — odrzekła. — Przestraszył mnie wtedy Gerwazek śmiertelnie. Naopowiadał różności, takie tam myśli przyszły do głowy... No i przyśniło się...

— A ten Gerwazek naprawdę jadł u was śniadanie?

Natasza chwilę myślała.

Uroda, Kobieta, Przemiana

⁵¹wojna krymska — toczona w latach 1853–1856 wojna pomiędzy Imperium Rosyjskim a Imperium Osmańskim. [przypis edytorski]

— A jadł. Pojawił się i mówi: „Przyszedłem do was od państwa w ważnej sprawie, tylko przedtem dajcie jeść”. Dali mu jeść jak komu dobremu, a on się najadł, wyszedł z chaty i mrugnął na mnie. Ja wyskoczyłam, a on za chatą opowiedział mi wszyściuteńko... Potem zabrał się i poszedł...

— Dlaczegoś nie zawołała gospodarzy?

— A jakże! Zagroził, że zabije! Do obiadu nie kazał o niczym mówić... A im powiedział: „Spać idę za stodołę...”.

W Suchymdole cała czeladź, przyjaciółki i rówieśnice zanudzały pytaniami i z wielkim zaciekawieniem przyglądały się Nataszy. Lecz dziewczyna im również odpowiadała krótko, jakby rozkoszując się rolą, którą wybrała.

— Dobrze było... — powtarzała.

A raz powiedziała tonem pątnicy:

— Bóg ma wszystkiego dużo. Dobrze było...

I po prostu, bez ociągania się, weszła w codzienne życie pracy, jakby zupełnie nie dziwić się ani temu, że nie ma dziadka, ani temu, że młodzi panowie poszli z własnej woli jako ochotnicy na wojnę, ani temu, że panienka zwariowała i snuje się po pokojach jak niegdyś dziadek, ani temu, że Suchymdołem zarządza nowa a wszystkim obca pani, niewysoka, pulchna, bardzo żywa, brzemienista — dawna moskiewska instytutka⁵², która była potem guwernantką u państwa Czerkizowów, a teraz nazywała Piotra Piotrowicza Piotrusiem...

— Zawołajcież tutaj tę... Jakże ją? Nataszkę... — powiedziała pani przy obiedzie.

Nataszka szybko i cicho weszła; przeżegnała się, pochylając się w kąt w stronę obrzędów. Skłoniła się potem pani oraz panience i stanęła, czekając na pytania i polecenia. Wypytywała ją, naturalnie, tylko pani. Panienka, która bardzo urosła, wychudła i miała teraz ostre rysy, patrzyła swymi nieprawdopodobnie czarnymi oczami nieruchomo i tępo, a nie wyrzekła ani słowa. I właśnie pani wyznaczyła ją na służbę do panienki, a dziewczyna ukloniła się i powiedziała tylko:

— Słucham.

Wieczorem panienka, z której oczu nie znikł wyraz skupienia i obojętności, niespodzianie rzuciła się na nią i zezując z wściekłości, z rozkoszą a okrutnie zaczęła wyrывать jej włosy dlatego, że Natasza nieumiejętnie ściągnęła jej z nogi pończochę. Ta zaś dziecinnie zapłakała, lecz zamilczała, a wyszedłszy do pokoju dziewcząt, usiadła na ławce przy drzwiach i wyczesując powyrywane pasma, uśmiechnęła się poprzez łzy wiszące na rzęsach.

— Ależ zła-a-a! — powiedziała. — Ciężko mi będzie!

Panienka, obudziwszy się z rana, długo leżała w łóżku, a Natasza stała na progu i spuściwszy głowę, z ukosa spoglądała na jej bladą twarz.

— Cóż ci się śniło? — spytała panienka tak obojętnie, jakby ktoś inny za nią mówił.

— Zdaje się nic... — odpowiedziała Natasza.

I wtedy panienka znów tak niespodzianie jak wczoraj zerwała się z łóżka, z wściekłością rzuciła w nią filiżankę z herbatą i upadłszy z powrotem na łóżko, krzykliwie zaszlochała. Natasza uchyliła się przed filiżanką i wkrótce nauczyła się od wielu rzeczy uchylać z niezwykłą zręcznością. Okazało się, że panienka niekiedy krzyczała do głupich dziewczyn, odpowiadających na pytania o snach: „Nic mi się nie śniło”, „No to wymyśl coś!”. Ale ponieważ Natasza nie umiała kłamać, zmuszona była kształcić w sobie inną umiejętność: wykręcania się od różnych niespodzianek.

Na koniec do panienki przywieziono lekarza, który stwierdził, „że w płucach jej się zapiekło”, po czym zalecił mnóstwo pigułek i czarnych kropeł. W obawie, aby jej nie otruto, Toniusia kazała Nataszce wypróbować wszystkie te krople i pigułki — a ta bez słowa zażyła kolejno wszystkie. Zaraz po przyjeździe dowiedziała się, że panienka czekała na nią jak „na światło z nieba” i że to właśnie panienka, przypomniawszy sobie o niej, nieomal oczy wypatrzyła, czy nie jadą już z Soszek. Gorąco zapewniała wszystkich, że jak tylko Natasza powróci, ona, Tonia, wyzdrowieje i uwolni się od wszelkich bólów i tęsknoty. Lecz gdy Natasza się pojawiła, przyjęta została zupełnie obojętnie. Ale czyż łzy panienki nie były łzami gorzkiego rozczarowania? Czyż okrutny pomysł zmuszania dziewczyny do próbowania lekarstw nie był namiętnym pragnieniem wyzdrowienia? Nataszy zmiękło

Sluga

⁵²instytutka (daw.) — wychowanka pensji dla dziewcząt. [przypis edytorski]

serce, gdy to pojęła. Wyszła na korytarz, siadła na skrzyni i znowu zapłakała. Płakała długo, cicho, napawając się swymi łzami; nieruchomo patrzyła przez nie w jeden punkt przed siebie, naśladując płaksive baby, a gdy przypominała sobie lusterko, swój wyjazd do Soszek i wszystko, co tam przeżyła, znów dziecinnie krzywiła się i zaczynała cichutko zawodzić.

— No cóż, lepiej ci? — spytała Toniusia, kiedy Natasza przyszła do niej z zapuchniętymi oczami.

— Lepiej — szeptem odrzekła dziewczyna, choć od zażytych lekarstw serce w niej zamierało, a w głowie się kręciło; i zbliżywszy się, gorąco pocałowała panienkę w rękę.

Długo jeszcze później chodziła ze spuszczoneymi rzęsami, bojąc się podnieść oczy na chorą, roztkliwiając się i nad nią, i nad swoją własną samotnością.

— Uch, fałszywa ukraińska żmija! — krzyknęła raz pewnego Sołoszka, jedna z towarzyszek dzielących z nią pokój, która częściej niż inne usiłowała zostać powiernicą wszystkich jej tajemnic i uczuć, lecz spotykała się stale z krótkimi prostymi odpowiedziami, wykluczającymi wszelki urok dziewczęcej przyjaźni.

Natasza uśmiechnęła się smutnie.

— No cóż — powiedziała w zamyśleniu. — To prawda. Z kim przestajesz, takim się stajesz. Mnie czasem tak za ojcem i matką nie tęskno, jak za moimi tamtejszymi gospodarzami...

Lecz powiedziała nieprawdę. Soszek zapomnieć nie mogła i z zachwytem opowiedziałaby o nich wiele, gdyby nie rola, którą sobie wybrała, ale „tamtejszych gospodarzy” nigdy nie uważała za ojca i matkę.

W Soskach nie przywiązywała zrazu wcale wagi do tego nowego życia, które ją otaczało. Przyjechali nad ranem i dziwnym wydało jej się tego ranka tylko to, że chata jest bardzo długa i biała, że widać ją z dala wśród okolicznych równin, że Ukrainka, rozpalać w piecu, przywitała ją uprzejmie, a chłop wcale Jewsieja nie słuchał, gdy ten gadał bez ustanku o panach, o Demianie i o upale w drodze, i o tym, co jadł w mieście, i o Piotrze Piotrowiczu, i, naturalnie, o lusterku. Chłop nazwiskiem Szary czy też, jak zwano go w Suchymdole, Borsuk, tylko głową kręcił i nagle, gdy Jewsiej umilkł, spojrzał na niego z roztargnieniem i wesolutko zanucił sobie pod nosem: „Wiej, śnieżycy, wiej...”. Potem Natasza zaczęła z wolna powracać do równowagi i dziwić się Soszkom, znajdując w nich coraz więcej piękna i widząc coraz większe różnice w porównaniu z Suchymdolem. Chociażby taka chata ukraińska: ta biel, ten równy, zręcznie zrobiony, trzciny dach! Jak bogate wydawało się ozdobione wnętrze w zestawieniu z niechlujnym ubóstwem suchodolskich chałup. Jakie drogie pozłociste obrazy wisiały w kącie izby, jakie cudowne papierowe kwiaty je otaczały, jak ładnie barwiły się ręczniki wiszące nad nimi! A wzorzysty obrus na stole! A rzędy błękitnawych garnków i misek na półkach przy piecu!

Ale największe zdziwienie budzili sami gospodarze.

Natasza nie mogła dobrze zrozumieć, co ją w nich tak dziwi, ale czuła to zdumienie bezustannie. Nigdy jeszcze nie widziała równie schludnych, spokojnych i statecznych chłopów jak Szary. Był on niewysoki, miał głowę stożkową, ostrzyżoną, pokrytą szczotką gęstego mocnego srebra. Wąsy (nosił tylko wąsy) miał także srebrne, cienkie, tatarskie. Twarz i szyję opaloną na czarno, pooraną głębokimi zmarszczkami, ale i one były także jakieś składne, wyraźne i jakby potrzebne. Chodził niezgrabnie (buty miał ciężkie), portki z grubego białego płótna wsuwał w buty, a w portki chował dół równie grubej płóciennej koszuli, szerokiej pod pachami i ozdobionej wykładanym kołnierzem. Idąc, trochę się garbił. Ale nie postarzało go ani to przyzwyczajenie, ani zmarszczki, ani siwizna. W twarzy jego nie było zmęczenia ani zniechęcenia; niewielkie oczy spoglądały ostro, bystro, sprytnie i drwiąco. Przypominał on Nataszy starego Serba, przychodzącego do Suchegodołu z chłopcem i grającego na skrzypcach.

A Ukrainkę Marynę mieszkańcy Suchegodołu przezwali Kopią. Pięćdziesięcioletnia ta kobieta była wysoka i smukła. Żółtawa opalenizna równo pokrywała jej gładką, nie spotykaną w Suchymdole skórę. Twarz o wystających kościach policzkowych była dość pospolita lecz niemal ładna w swej prostocie, zaś bystre, żywe poważne oczy, których kolor podobny był to do agatu, to do szarego bursztynu, zmieniały się jak u kota. Czarno-złota chustka w czerwone groszki układała się na jej głowie w duży wysoki turban; czarna

Chłop

krótka spódnica, od której ostro odcinała się biel koszuli, mocno obciskała wysmukłą prawie dziewczęcą postać. Na bosych nogach nosiła buciki z podkówkami, a nagie jej golenie były szczupłe lecz krągłe i słońce wypolerowało je na żółtobronzowo. Gdy niekiedy silnym piersiowym głosem, zmarszczywszy brwi, śpiewała przy robocie pieśń o oblężeniu Poczaiewa⁵³ przez niewiernych, o tym,

Śpiew, Smutek, Siła

„Jak zijszła zoria wieczirowaja
Ta nad Poczaiewom stała”⁵⁴

i jak sama Matka Boska święty klasztor „ratowała”, w głosie jej było tyle beznadziejności, zawodzenia i czegoś cerkiewnego, a zarazem tyle majestatu, siły i groźby, że Nataszka w strachu i zachwycie nie spuszczała z niej oczu.

Sierota, Samotność, Smutek

Gospodarze nie mieli dzieci, a Nataszka była sierotą. Gdyby mieszkała wśród suchodolców, nazywaliby ją czasem przybraną córką, a czasem złodziejką; czasem litowaliby się nad nią, czasem dokuczaliby jej. A Ukraińcy, jakkolwiek prawie zimni, byli równi w zachowaniu, zupełnie nie ciekawi i nie gadatliwi. Jesienią na sianożęcie i do młócki sprowadzali baby i dziewczyny z Kaługi⁵⁵, a nazywali je przez ich barwne sarafony⁵⁶ „pstrokatkami”. Wówczas w chutorze stawało się głośno i rozmowy nie ucichały, ale Natasza trzymała się z daleka od „pstrokatek”; znane były one z rozpusty, chorowały na wstrętne choroby, miały wielkie piersi, były bezczelne i zuchwale, wymyślały sobie obrzydliwie, lubując się w ordynarnych wyrazach, dowcipami sypały jak z rękawa, konia dosiadały po męsku i pędziły jak szalone. Smutek Nataszy rozwiałby się w zwykłym życiu, w szczerych wynurzeniach, we łzach i w pieśniach, ale pieśni, które dziewczyna śpiewała, były zupełnie inne niż piosenki tamtych kobiet. „Pstrokatki” wyciągały melodię swymi grubymi głosami, podchwytywały ją donośnie, lecz niezbyt zgodnie, z pohukiwaniami i pogwizdywaniami. Szary śpiewał wyłącznie piosenki żartobliwo-taneczne, a Maryna w swoich pieśniach, nawet miłosnych, była surowa, dumna, zamyślona i posępna.

„W kinci grebli szumliat wierbi,
Szczō ja posadila”⁵⁷.

smętnie i przeciągle zawodziła, dodając zniżonym głosem zdecydowanie i beznadziejnie:

„Nema toho,
Koho ja lubila...”⁵⁸.

A co umiała Nataszka? Co pozostało w Suchymdole ze słowiańskiej pieśni, którą spaczono i której charakter zmieniono? Zostały tylko skargi na los i na ojca z matką, którzy „siłą za mąż wydają za niemilego, do złego teścia wysyłają, do złej teściowej, do złych szwagierek...”⁵⁹, albo nieśmiało wyrzuty wobec tego, który obiecywał i porzucił:

„Czyż nie wczoraj wobec ludzi
Swoją miłą mnie nazywał...?”.

Miłość niespełniona,
Krzywdą, Rozpacz

I w samotności, w zapomnieniu, Nataszka wchłaniała w siebie z wolna pierwszą gorzko-słodką truciznę nieodwzajemnionej miłości, przecierpiała swój wstyd, zazdrość,

⁵³Poczaiew — miasto w rejonie krzemienieckim obwodu tarnopolskiego Ukrainy. [przypis edytorski]

⁵⁴Jak zijszła zoria wieczirowaja Ta nad Poczaiewom stała — fragment ukraińskiej pieśni religijnej o Poczaiewskiej Matce Bożej, śpiewanej przez pielgrzymów; pieśń upamiętnia cudowne objawienie się Maryi w Poczaiewie. [przypis edytorski]

⁵⁵Kaługa — miasto w europejskiej części Rosji, stolica obwodu kałuskiego. [przypis edytorski]

⁵⁶sarajan — tradycyjny strój chłopka w Rosji, rodzaj długiej sukni z wysoką talią. [przypis edytorski]

⁵⁷W kinci grebli szumliat wierbi, Szczō ja posadila. — fragment ukraińskiej pieśni ludowej. [przypis edytorski]

⁵⁸Nema toho, Koho ja lubila... — fragment ukraińskiej pieśni ludowej. [przypis edytorski]

⁵⁹siłą za mąż wydają za niemilego, do złego teścia wysyłają, do złej teściowej, do złych szwagierek... — motyw klasycznej pieśni ludowej, opisujący niedolę kobiet na patriarchalnej wsi. [przypis edytorski]

straszne lub przyjemne sny, które śniły jej się nocami, i niemożliwe do spełnienia marzenia i oczekiwania, długo dręczące ją podczas milczących dni w stepie. Piekące uczucie krzywdy ustępowało często w jej sercu miejsca tkliwości, namiętność i rozpacz — pokorze oraz pragnieniu choćby najskromniejszego, niezauważonego przebywania w pobliżu niego, miłości na wieki ukrytej przed wszystkimi, nieoczekującej niczego i niczego niewymagającej. Otrzeźwiały ją wieści dochodzące z Suchegodołu. Lecz jeżeli długo wieści te nie nadchodziły, brakowało także wrażenia współzycia z suchodolską codziennością i Suchydół wówczas wydawał się taki piękny, taki upragniony, że nie starczało sił, aby znosić osamotnienie i ból... Nagle zjawił się Gerwazy. Śpiesznie i bezwzględnie wysypał przed nią wszystkie suchodolskie nowości, w pół godziny opowiedział to, czego kto inny nie potrafiłby nagadać przez cały dzień, opowiedział wszystko, nie wyłączając i tego, jak to on na śmierć „potrącił” dziadka, a wreszcie rzekł stanowczo:

— No, a teraz żegnaj na wieki!

Przeszywając oszołomioną dziewczynę swymi jarzącymi się ślepiami, krzyknął jeszcze, wychodząc na drogę:

— A czas już, żebyś sobie wybiła głupstwa z głowy! On nie dziś, to jutro ożeni się, a ty dla niego nie nadajesz się nawet na kochankę... Nie bądź głupia!

I Natasza przestała być głupia. Przeboleła straszne nowiny, wróciła do równowagi i stała się rozsądna.

Dni popłynęły potem jednostajne, nudne, jak te pątnice, które szły i szły szosą obok chutoru, a odpoczywając, prowadziły z Nataszą długie gawędy i uczyły ją cierpliwości oraz ufności w miłosierdzie Boga, którego imię wymawiała tępo i żałośnie. Przede wszystkim zaś nauczyły ją myśleć.

— Myśl czy nie myśl — i tak nie będzie podług twojej woli — mówiły pątnice, przewijając łapcie, marszcząc wymęczone twarze i bezwolnie patrząc w stepową dal. — Pan Bóg wszystkiego ma dużo... Narwij no nam, dziewczyno, cichcem cebulki...

A inne, jak to bywa, straszyły grzechami, tamtym światem i przepowiadały jeszcze gorsze nieszczęścia i biedy. Razu pewnego Nataszce przyśniły się dwa okropne sny, prawie jeden po drugim. Rozmyślała wciąż o Suchymdole — trudno było zrazu o nim nie myśleć! Myślała o panience, o dziadku, o swojej przyszłości, wróżyła sobie czy wyjdzie za mąż, a jeżeli wyjdzie, to kiedy i za kogo... Myśli te przeszły tak niepostrzeżenie w sen, że dziewczyna zupełnie jak na jawie ujrzała się w przedwiecz⁶⁰ dnia upalnego, niespokojnie wietrznego i pełnego kurzu... Wydało jej się, że biegnie jak gdyby do stawu z wiadrami i nagle na gliniastym, suchym skłonie pagórka widzi potwornego chłopaka o wielkiej głowie, w zdeptanych butach, bez czapki, z rudymi kudłami zwichrzonymi przez wiatr, w rozpiętej, rozwiewającej się, ognistoczerwonej koszuli.

— Dziadku! — krzyknęła z przerażeniem. — Czy to pożar?

— Runie wszystko zaraz do ostatka! — odezwał się karzeł także z krzykiem, zagłuszonym przez gorący wiatr. — Idzie straszna chmura! Nawet nie myśl o wychodzeniu za mąż!

A drugi sen był jeszcze gorszy: oto Natasza stała niby w gorącej pustej izbie (południe było), ktoś zamknął ją z zewnątrz, a ona umierała ze strachu, na coś czekając. I nagle zza pieca wyskoczył olbrzymi szary kozioł, stanął dęba i ruszył prosto na nią nieprzystojnie podniecony, z oczami gorejącymi jak węgle, radośnie wściekłymi i proszącymi. „Jam twój narzeczony!”, krzyknął ludzkim głosem, podbiegając szybko i niezdarnie, drobno tupocząc małymi tylnymi kopytkami; i przednimi z rozpędu upadł jej na piersi...

Zrywając się po takim śnie ze swej pościeli w sieni, Natasza nieomal umierała z powodu bicia serca, ze strachu przed ciemnością, z przerażenia, że nie ma u kogo szukać ratunku.

— Jezu najśłodszy! — szeptała śpiesznie. — Matko, Królowo Nieba! Święci Pańscy!

Ponieważ jednak wyobrażała sobie wszystkich świętych brązowymi i bez głów jak Merkurusz, strach ogarniał ją jeszcze większy.

A kiedy zaczęła zastanawiać się nad snami, przyszło jej do głowy, że skończyły się lata dziewczęce, że los się dopełnił (nie darmo przeznaczone jej było coś tak niezwykłego jak miłość do pana!), że czekają ją jeszcze jakieś przejścia, że trzeba naśladować Ukraińców

⁶⁰przedwiecz^{er} — literackie określenie pory dnia poprzedzającej wieczór. [przypis edytorski]

w ich powściągliwości, a pątnice — w prostocie i pokorze. I wzięła się w tę rolę, jak wszyscy w Suchymdole, którzy lubili grać rolę, wmawiać w siebie nieodwołalność tego, co jakoby powinno się było dokonać z przeznaczenia losu, jakkolwiek sami sobie to wymyślili.

VIII

Aż jej nogi ociężały z radości, gdy wybiegłszy na próg chaty w wigilię Św. Piotra⁶¹, zrozumiała, że Bodulia przyjechał po nią. Znów zobaczyła zakurzony, roztrzęsiony wóz z Suchegodołu, podartą czapkę na kudłatej głowie Bodulii, ujrzała jego wypłowiałą na słońcu, splątaną brodę, jego twarz zmęczoną, wzburzoną, przedwcześnie postarzałą i szpetną, a nawet jakąś dziwną z tym wyrazem ograniczenia i nieproporcjonalnością rysów... Zobaczyła znajomego psa także; kudłatego, mającego pewne podobieństwo nie tylko do Bodulii, ale do całego Suchegodołu, psa brudnoszarego na grzbiecie a jakby zakopconego ciemnym dymem kurnej chaty z przodu na piersiach i na gęsto obrośniętej szyi. Ale Bodulia na jej widok osłupiał, a wówczas Natasza opanowała się, poczuła dumę i weszła w swą rolę. Bodulia plótł, co mu do głowy przyszło o wojnie; to się niby radował, to martwił, a Nataszka na to rozsądnie odrzekła:

— Cóż, widać trzeba ich jakoś rozumu nauczyć, tych Chrancuzów...

Cały długi dzień podróży do Suchegodołu przeszedł pod przykrym wrażeniem patrzenia nowymi oczami na rzeczy stare i znajome, przeżywania wraz ze zbliżaniem się do rodzinnych kątów siebie samej dawniejszej, dostrzegania zmian wszędzie oraz poznawania spotykanych ludzi. Na zakręcie z wielkiej drogi do Suchegodołu w okólniku zarosłym burzanem biegł młody koń, trzylatek; chłopak, przytrzymując bosą nogą parcianą uzdę, uczył się jego szyi i usiłował zarzucić mu drugą nogę na grzbiet, ale koń się nie dawał, wierzał i strząsał malca. Nataszka wzruszyła się radośnie, poznawszy w chłopcu Tomka Pantiuchina. Spotkali też stuletniego Nazaruszkę, siedzącego na wozie już nie po męsku lecz po babsku z prosto przed siebie wyciągniętymi nogami. Ramiona trzymał z wytężeniem wysoko uniesione, oczy miał bezbarwne, żałośnie-smutne, a wychudły był do takiego stopnia, że „nie byłoby co włożyć do trumny”. Siedział bez czapki, w długiej zniszczonej koszuli aż szarej od popiołu, gdyż stary ciągle leżał na przypiecku. I znowu drgnęło serce w Nataszy: przypomniało jej się, jak lat temu trzy Arkadiusz Piotrowicz, ten najlepszy i najbardziej bez troski z ludzi, chciał zbić Nazaruszkę, schwytanego w ogrodzie z rzepą w rękę i płaczącego wśród czeladzi, otaczającej go ledwo żywego ze strachu i krzyczącej ze śmiechem:

— Nie, dziadu, nie skowycz. Już, widać, trzeba będzie szelki spuścić, nie wykręcisz się!

A jak zabiło jej serce, gdy zobaczyła wygon, szereg chat i dwór: sad, wysoki dach domu, tylne ściany stodoł należących do służby folwarcznej, stajnie! Pełne chabrów żółte pole żyta podchodziło tuż do tych ścian, do chwastów i tataraki; czyjś biały w brązowe łaty cielak stał wśród owsa i tonąc w zieleni, objadał kście. Wszystko wokoło było spokojne, proste i zwykłe, a tylko Nataszce robiło się na duszy coraz niezwyklej i coraz trwoźniej... I niepokój ogarniał ją coraz większy, gdy wóz szparko wytaczał się w szerokie podwórze, na którym bieleły śpiące charty, niby pomniki na cmentarzu. Strach ją zdjął, kiedy po raz pierwszy po dwuletnim przebywaniu w chłopskiej izbie weszła do chłodnego wnętrza dworu, tak znajomo pachnącego woskowymi świecami, lipowym kwiatem, spiżarnią, kozackim siodłem Arkadiusza Piotrowicza, poniewierającym się na ławce w przedpokoju, opustoszałymi kłatkami po przepiórkach wiszącymi nad oknem — i nieśmiało spojrzała na Merkuriusza, przeniesionego z pokojów dziadka w kąt przedpokoju... Słońce wpadające z ogrodu przez małe okienka jak dawniej wesoło oświecało ponury salon. Piskłę, które nie wiadomo po co dostało się do domu, piszcząc sieroco, drecząc po bawialni. Na rozgrzanych jaskrawo pomalowanych parapetach okien sechł i pachniał kwiat lipowy...

⁶¹świętego Piotra — tu: Pietrowki; Post Piotrowy (znany również jako Post Apostolów, Post Pięćdziesiątnicy lub Post Piotra i Pawła) to post w Kościele prawosławnym ustanowiony ku pamięci świętych apostołów Piotra i Pawła, którzy pościli, przygotowując się do głoszenia Ewangelii (Dz 13,3). Rozpoczyna się tydzień po Niedzieli Trójcy Świętej, w poniedziałek następujący po dziewiątej niedzieli po Wielkanocy (Wielkanoc jest pierwszą niedzielą), a kończy 28 czerwca (11 lipca), w wigilię Dnia Piotra i Pawła, obchodzonego 29 czerwca (12 lipca). W tym dniu prawosławie świętuje „wytrwałość Piotra i mądrość Pawła”. Zatem, w zależności od daty Wielkanocy, może on trwać od 8 do 42 dni. [przypis edytorski]

Pies

Powrót, Dom

Zdawało się, że wszystko dawne, co ją otaczało, jakoś odmłodziło, jak to zwykle bywa, gdy wyniosą z domu nieboszczyka. We wszystkim, we wszystkim, a zwłaszcza w zapachu kwiatów, Natasza czuła część swego własnego życia, swego dzieciństwa, lat młodzieńczych, pierwszej miłości. I żał jej było tych, którzy stali się dorosłymi, którzy pomarli lub zmienili się — żał było siebie samej i panienki. Rówieśnicy i rówieśniczki stali się dojrzałymi ludźmi. Wielu staruszków i staruszek, których głowy już wówczas trzęsły się ze starości i którzy już przed laty wyglądali z progów czeladnych na świat boży jakoś tępo, znikły na zawsze. Znikła także Daria Ustinowna. Nie było dziadka, który tak dziecinnie bał się śmierci i myślał, że ogarniać go ona będzie powoli, przygotowując stopniowo do tej strasznej chwili, a przecież skosiła go jej kosa tak nieoczekiwanie i błyskawicznie! Trudno było uwierzyć, że go nie ma, że to właśnie on rozpadł się w proch pod pagórkiem mogiłnym przy cerkwi we wsi Czerkizowo...

Trudno było uwierzyć, że ta chuda, czarna, ostronosa kobieta, na przemian obojętna, wściekła, podniecona, gadatliwa, szczerza z nią jak z równą sobie lub też wyrrywająca jej włosy, to panienka Tonia. Niezrozumiałe było, czemu gospodaruje w domu jakaś Klasza Markowna, mała, krzykliwa, z czarnymi wąsikami... Pewnego razu Nataszka nieśmiało zajrzała do jej sypialni, zobaczyła fatalne lustro w srebrnej oprawie i do serca jej napłynęły rozkoszną falą wszystkie dawniejsze uczucia: obawa, radość, tkliwość, oczekiwanie wstydu i szczęścia, a z nimi — zapach zroszonych burzanów w czas wieczornej zorzy... Ale wszystkie uczucia i wszystkie te myśli Natasza zatajała w sobie, bezustannie je przerywała i uspokajała siebie słowami pątnic, wydającymi się jej szczytem mądrości: „Bóg wszystkiego ma dużo...”. Płynęła w niej stara krew suchodolska! Przaśny chleb⁶² jadła Nataszka — z gleby, która otaczała Suchydół! Mdlą wodę piła z tych stawów, które kopali jej dziadowie w korycie wyschłej rzeczki! Nie bała się ani kagańca, ani dyb, obawiała się tylko śmieszności; nie straszyły jej nużące dni powszednie, lecz niezwykłość. Nawet śmierci się nie lękała, ale o drżenie przyprawiały ją sny, ciemność nocy, burza, piorun i ogień. Niby dziecię pod sercem nosiła w sobie niejasne wyczekiwanie jakichś niemożliwych do ominięcia nieszczęść. I nieszczęścia te przyszły, przyszły zbyt nawet prędko i zastąpiły na zawsze codzienność, którą zburzyły. Natasza starzała się przez to wyczekiwanie, a przy tym bezustannie wmawiała sobie, że młodość minęła, szukając potwierdzenia tego we wszystkim. Rok jeszcze nie przeszedł od czasu jej przyjazdu do Suchegodołu, a nie zostało już ani śladu z tego młodego uczucia, z którym przestąpiła próg suchodolskiego dworu.

Gdy Klasza Markowna urodziła syna, Feodosii, kobiecie od drobiu, kazano być niańką. I Feodosia, baba jeszcze młoda, włożyła ciemną suknię staruszki, stała się bogoboja i pogodziła się z losem. Nowy Chruszczow ledwo wytrzeszczał mleczne bezmyślne oczki, robił ze śliny bańki, bezradnie upadał wprzód, przeciągany ciężarem własnej głowy i wrzeszczał okrutnie, a już nazywano go paniczem i już wówczas słyhać było z dzieciniego pokoju stare, stare przypowiadki:

— O! O! Idzie dziad z workiem... Dziad, dziad! Idź sobie, dziadku, nie damy ci panicza, panicz nie będzie już krzyczał...

I Natasza naśladowała Feodosię, uważając się także za niańkę — niańkę a zarazem przyjaciółkę chorej panienki. W zimie umarła Olga Kiriłówna i Nataszce zezwolono pojechać na pogrzeb ze starymi babami, które w czworakach dożywały resztki swych dni; na pogrzebie jadła kutię⁶³, która budziła w niej wstręt swym słodkawym i mdłym smakiem, a powróciwszy do Suchegodołu, z roztkliwieniem opowiadała, że pani „leżała zupełnie jak żywa”, chociaż nawet stare baby nie miały odwagi patrzeć na trumnę z tym potwornym ciałem.

Na wiosnę przywieziono do panienki czarodzieja ze wsi Czermaszne, sławnego Klima Jerochina, pełnego godności bogatego jednodworca⁶⁴ o siwej gęstej brodzie, równie siwych długich włosach, rozczesanych w przedział na środku głowy — gospodarza bardzo

Wspomnienia

Dziecko, Szlachcic, Pozycja społeczna

⁶²przaśny chleb — rodzaj podpłomyka albo macy. [przypis edytorski]

⁶³kutia — tradycyjna potrawa kuchni ukraińskiej, białoruskiej, rosyjskiej, litewskiej i polskiej. [przypis edytorski]

⁶⁴jednodworzec — przed zniesieniem przez Aleksandra II pańszczyzny istnieli wśród chłopstwa chłopci wolni, którzy uważali się za potomków szlachty i urzędników osadzonych na roli w XVII w. „Jednodworcy” ci grupowali się zwłaszcza w gub. Tambowskiej, Woroneżskiej i sąsiednich (wg Dala). [przypis tłumacza]

skrzętnego i rozumnego, rozmawiającego w normalnych warunkach zwyczajnie, a zmieniającego się przy chorych we wróża. Odzienie jego było rzadkiej mocy i schludności: miał na sobie siermięgę⁶⁵ koloru żelaza, czerwony pas i buty. Małe oczki były chytre i przenikliwe, bystro szukał nimi obrazów; do domu wchodził ostrożnie, garbiąc trochę swą wysoką postać i rzeczowo zagajał rozmowę. Nasamprzód mówił o zbożu, o deszczu i o suszy, potem długo i ceremonialnie pił herbatę, znowu robił znak krzyża i dopiero wówczas, raptownie zmieniając ton, zapytywał o chorego.

— Zorza... Ciemniej już... Pora... — mówił tajemniczo.

Panienka, siedząc o zmierzchu w sypialni, oczekiwała Klimy, dostawała gorączki i niewiele brakowało, aby się w konwulsjach zaczęła wić po podłodze. Stojącą obok Nataszę ogarniał również strach. Cichł cały dom, nawet pani zwoływała dziewczęta do swojego pokoju i rozmawiała szeptem. Nikomu nie wolno było zapalić najmniejszego światelka ani podnieść głosu. Wesolej Sołoszcze, dyżurującej w korytarzu na wypadek wezwania lub rozkazów Klimy, aż mąciło się przed oczami, a serce łomotało w gardle. Wreszcie Klim przechodził obok niej, rozwiązując po drodze chusteczkę z jakimiś czarodziejskimi kosteczkami. Wkrótce z grobowej ciszy sypialni rozlegał się jego donośny niezwykle głos:

— Powstań, rabo Boża⁶⁶!

Potem w drzwiach ukazywała się jego siwa głowa.

— Deskę — rzucił jakoś bez życia.

Na desce, położonej na podłodze, stawiali zimną jak trup panienkę z wytrzeszczonymi ze strachu oczami. Było już tak ciemno, że Natasza ledwie rozróżniała twarz Klimy. Ten zaś nagle zaczynał dziwnym, jakby dalekim głosem:

— A przyjdzie Filat... Okna otworzy... Drzwi rozewrze... Zakrzyknie i powie: „Tęsknico, tęsknico!”. Tęsknico, tęsknico! — wykrzykiwał z niespodziewaną siłą, groźnie i władczo. — A idźże, tęsknico, na ciemne lasy... Tam miejsce twoje! Na morzu, na ocyjanie — mruczał głucho, złowieszczo i śpiesznie — na morzu, na ocyjanie, na wyspie Bujanie⁶⁷ leży sęków pełno, na nich skóra z szarą wełną...

I czuła Natalia, że nie ma straszniejszych słów nad te, przenoszące od razu całą jej duszę gdzieś do krainy dzikiego, legendarnego, pierwotnego bytu. Nie można było nie wierzyć w ich siłę, jak nie mógł w to nie wierzyć i sam Klim, dokonujący niekiedy wprost cudów nad owładniętymi chorobą; ten sam Klim, który mówił tak prosto i skromnie, siedząc po skończonych zamawianiach w przedpokoju, wycierając spocone czoło chusteczką i znowu zabierając się do herbaty:

— No, teraz dwie zorze trzeba jeszcze przeczekać... Może, Bóg da, trochę ulży.... A grykę siała pani w tym roku? Mówią, że dobrze obrodziła, bardzo dobrze!

Latem oczekiwano powrotu gospodarzy z Krymu⁶⁸. Ale Arkadiusz Piotrowicz przysłał polecony list z nowym żądaniem pieniędzy i z wiadomością, że panowie nie mogą powrócić przed początkiem jesieni z powodu rany Piotra Piotrowicza — lekkiej, lecz wymagającej długiego leczenia. Posłano do wróżki Daniłowny w Czerkizowie z zapytaniem, czy choroba skończy się pomyślnie. Daniłowna zaczęła tańczyć i strzelać palcami, co, naturalnie, znaczyło: pomyślnie. I pani się uspokoiła. A panienki i Natalii wcale to nie obeszło. Panience zrazu zrobiło się lepiej, ale od Św. Piotra znowu się zaczęło: znów tęsknota i taki strach przed burzami, pożarami i jeszcze przed czymś, co ukrywała, że nie obchodził ją los braci. Przestał on też obchodzić i Natalię. Przy każdej modlitwie prosiła o zdrowie dla Piotra Piotrowicza; tak samo, jak potem, gdy przez całe swe życie do grobowej deski modliła się za spokój jego duszy. Ale panienka stała się jej najbliższą ze wszystkich. I to ona właśnie coraz więcej zarażała dziewczynę swymi obawami, wyczekiwaniem nieszczęść i tym, czego nie wyjawiała.

A lato było upalne, wietrzne, pełne kurzu, z codziennymi burzami. Wśród ludu chodziły niejasne trwożne gadki o jakiejś nowej wojnie, o jakichś buntach i pożarach. Jedni mówili, że lada chwila puszczą chłopów do domu, drudzy utrzymywali, że przeciwnie —

⁶⁵siermięga — dawniej wierzchnia odzież wieśniacza z grubego płótna lub sukna. [przypis edytorski]

⁶⁶raba Boża (daw.) — niewolnica Boża. [przypis edytorski]

⁶⁷Bujan — baśniowa rosyjska wyspa morska, występująca w rosyjskim folklorze, która pojawia się i znika we mgle. [przypis edytorski]

⁶⁸Krym — półwysp pomiędzy częścią północną Morza Czarnego a częścią zachodnią Morza Azowskiego. [przypis edytorski]

na jesieni wszystkim chłopom ogolą głowy i wezmą ich do wojska. Jak zwykle w takich wypadkach pojawiły się niezliczone grupy włóczęgów, głuptaków⁶⁹ i zakonników. A panienka o mało się o nich nie biła z panią, obdzielając chlebem i jajkami. Przychodził niekiedy Dronia, długi, rudy, niesłuchanie oberwany. Był po prostu pijakiem, ale udawał głuptaka. Szedł zamyślony przez podwórze prosto do domu, aż uderzał głową w ścianę i odskakiwał z radosną twarzą.

— Ptaszkowie moje — wykrzykiwał falsetem, podskakując, zginając się cały w prawą stronę i przykładając rękę do czoła niby zasłone od słońca. — Polecieli, polecieli aż do nieba moje ptaszkowie!

I Natalia, naśladując baby, patrzyła na niego tak, jak należy patrzeć na prostaczków bożych: tępo i żałośnie. Panienka zaś rzuciła się do okna i wołała ze łzami żalonym głosem:

— Świętobliwy człowieku boży, módl się za mnie, grzeszną!

Na to wołanie oczy Nataszki stawały się nieruchome pod wpływem strasznych przeżyć.

Ze wsi Kliczyn przychodził Timosza Kliczyński: drobny, tłusty jak kobieta, o dużych piersiach, o twarzy zezowatego niemowlęcia, ogłupiałego i duszącego się z nadmiaru tuszy, żółtowołosy, w białej perkalowej koszuli i króciutkich perkalowych porteczkach. Śpiesznie drobnymi kroczkami zbliżał się do ganku, stawiając stopy najpierw palcami i drepzcząc małymi pulchnymi nóżkami, a jego wąskie oczki patrzyły tak, jakby Timosza wyskoczył z wody lub uratował się od nieuniknionej zguby.

— Nieszczęście — mamrotał bez tchu. — Nieszczęście...

Uspokajano go, karmiono i czegoś od niego oczekiwano; on zaś milczał, sapał i chciałwie młaskał. A najadłszy się, znowu zarzucał worek na plecy i z niepokojem szukał swego długiego kija.

— Kiedy znowu przyjdiesz, Timosza? — wołała panienka.

A on odpowiadał także krzykiem, dziwnie wysokim altem, nie wiadomo po co przekraczając imię panienki:

— Na Święta, Łukjanowna!

Panienka zaś zawodziła w ślad za nim tonem już nieomal wyznania:

— Człowieku świętobliwy! Wstaw się do Boga za grzeszną Marię Egipcjanę⁷⁰!

Pozostali robili znak krzyża i wzdychali, bo rzeczywiście prawie codziennie nadchodziły zewsząd wieści o nieszczęściach, burzach i pożarach. I prastary strach przed ogniem ciągle wzrastał w Suchymdole. Gdy tylko żółte jak piasek morze dojrzewających zbóż zaczynało gasnąć pod chmurą napływającą zza dworu, gdy tylko pierwszy wicher przelatował nad ugięciem i oddalony grzmot przewalał się ciężko, baby czym prędzej wynosiły na próg pociemniałe deseczki ikon i szykowały garnki mleka, które, jak wiadomo, najprędzej gasi ogień. A we dworze wyrzucano w pokrzywy nożyczki, wyjmowano straszny tajemniczy ręcznik, zawieszano okna, drżącymi rękami zapalano woskowe świece. Nawet pani, czy to udając, czy też naprawdę, zaraziła się strachem. Dawniej mówiła, że burza to „zjawisko natury”. Teraz również się żegnała, mrużyła oczy, wydawała okrzyki, gdy migały błyskawice. A żeby powiększyć i swój strach, i strach otaczających, stale opowiadała o jakiejś niezwyklej burzy, która się rozpętała w roku 1771 w Tyrolu⁷¹, a podczas której zginęło od razu sto jedenaście osób. Słuchające kobiety podchwytywały to i śpieszyły z własnymi opowieściami: o wierzbie, spalonej do cna na wielkiej drodze przez piorun, o babie, którą w tych dniach piorun zabił, o jakiejś trojce, tak ogłuszonej w drodze, że wszystkie trzy konie upadły na kolana... Na koniec do tych bają przyłączył się niejaki Joszka, „mnich, który zgrzeszył” jak sam siebie nazywał.

IX

Joszka pochodził z chłopów. Nie brał się nigdy do pracy i żył jak Bóg dał, płacąc za chleb i sól opowiadaniem o swym zupełnym nieróbstwie i o swoim „grzechu”.

⁶⁹głuptak — tu: dawniej określenie osoby upośledzonej umysłowo. [przypis edytorski]

⁷⁰Maria Egipcjanica (344–421) — pustelnica, święta Kościoła katolickiego, prawosławnego, koptyjskiego i ormiańskiego. [przypis edytorski]

⁷¹Tyrol — region historyczny w północnych Włoszech i w zachodniej Austrii. [przypis edytorski]

Burza, Zabobony, Ogień

Grzech, Kłamstwo,
Przebranie, Lenistwo

— Jam, bracie, chłop, ale mądry jestem i wyglądam na garbusa — mówił — to po cóż mam pracować!

I rzeczywiście wyglądał jak garbaty. Spojrzenie miał kłujące i mądre, twarz pozbawioną zarostu, ramiona z powodu rachitycznej klatki piersiowej trzymał podniesione, gryzł paznokcie; palce, którymi co chwila odrzucał w tył długie czerwono-brązowe włosy, były cienkie i silne. Oranie ziemi uważał za zajęcie „nieodpowiednie i nudne”, więc poszedł do Kijowskiej Ławry⁷² i „tam podrósł”, ale wypędzono go z klasztoru za „grzech”. Wtedy, zorientowawszy się, że udawanie pielgrzyma do świętych miejsc i człowieka ratującego duszę nie jest już na czasie, a może stać się nawet nieintrygantem, spróbował czego innego: nie zdejmując sukienki zakonnej, zaczął otwarcie chępić się swoim nieróbstwem i lubieżnością, palić i pić ile wlezie (nie upijał się nigdy), wyszydzać Ławrę i za pomocą nieprzystojnych gestów i ruchów ciała wyjaśniać, za co go właściwie stamtąd wyrzucono.

— No, wiadomo — opowiadał chłopom, mrugając porozumiewawczo — wiadomo... I wtedy mnie za to, raba Bożego, za kark...! To i wróciłem do domu, do Rosji... Chyba nie zginę!

I rzeczywiście, nie zginął: Rosja przyjęła go, bezwstydnego grzesznika, z nie mniejszą gościnnością niż ludzi zbawiających duszę: karmiła, poila, wpuszczała na nocleg i z zachwytem go słuchała.

— Znaczący, zarzekłeś się, że już nigdy nie będziesz pracował? — pytali chłopcy, czekając z błyszczącymi oczami na pieprzne wynurzenia.

— Sam diabeł mnie teraz do pracy nie zmusi! — odzywał się Joszka. — Za dobruem przyzwyczajony! Narowisty się stałem gorzej niż ten kozioł z Ławry. Dziewuchy (baby i za darmo mi niepotrzebne!) boją się mnie śmiertelnie, ale i kochają! Bo i co! Niczego sobie jestem: może niekoniecznie ładny, ale za to do rzeczy!

Zjawiwszy się w suchodolskim dworze, jako człowiek bywały wszedł prosto do domu, do przedpokoju. Siedziała tam na ławce Nataszka i nuciła: „Wymiałałam sionkę, młoda, znalazłam cukier słodziutki...”. Zobaczywszy go, zerwała się przerażona.

— Oj, kto to? — krzyknęła.

— Człowiek — odpowiedział Joszka, mierząc ją szybko wzrokiem od stóp do głów. — Zamelduj pani.

— Kto to? — krzyknęła i pani z salonu.

Ale Joszka w tej chwili ją uspokoił, powiedział, że jest dawnym mnichem — a nie zbiegłym żołnierzem, jak ona zapewne przypuszczała — że powraca do domu i prosi, aby go zrewidowano, a potem zezwolono mu przenocować i trochę odpocząć. I tak oszołomił panią tą swoją szczerością, że już na drugi dzień mógł przenieść się do pokoju lokajów, opustoszałego od czasu wyjazdu panów, i stał się po prostu domownikiem. Przechodziły ciągle burze, a on niezmordowanie zabawiał gospodynię opowiastkami; wpadł na pomysł, aby okienka na strychu zabić i w ten sposób zabezpieczyć dach od piorunów; wybiegał na ganek w czasie najgorszych piorunów, żeby pokazać, iż wcale nie są straszne; pomagał dziewczętom nastawiać samowary. One boczyły się, czując na sobie jego bystre, lubieżne spojrzenia, lecz śmiały się z jego żartów, a Nataszka, którą już nie raz zatrzymywał w korytarzu, szepcząc pośpiesznie: „Zakochałem się w tobie, dziewczyno!”, po prostu nie miała odwagi podnieść na niego oczu. Budził w niej jednocześnie wstręt zapachem machorki⁷³, którym była przepojona jego zakonna sukienka, i strach, strach...

Z całą pewnością wiedziała już, co nastąpi. Spała sama w korytarzu obok drzwi do sypialni panienki, a Joszka jej rąbał: „Przyjdę. Choćbyś zarżnęła, przyjdę. A jeśli będziesz krzyczała, puszcze was z dymem...”. Lecz najbardziej pozbawiała ją sił świadomość, że dopełnia się coś nieuniknionego, że przybliża się spełnienie jej przerażającego snu, że widocznie sądzono jej zginąć razem z panienką.

Wszyscy rozumieli teraz, że nocami w domu panuje sam diabeł. Wszyscy rozumieli, co właściwie (pomijając burze i pożary) przyprawia panienkę o szaleństwo, dlaczego tak słodko i dziko panna Tonia jęczy przez sen, a następnie zrywa się z wyciem tak przejmującym, że najbardziej ogłuszające grzmoty wydają się niczym w porównaniu z tym głosem. Panienka wyła: „Wąż edeński, jerozolimski, dusi mnie!”. A wąż ten, to nikt inny, tylko

⁷²Ławra Kijowska a. Ławra Peczerska — średniowieczny klasztor prawosławny w Kijowie, jedno z największych chrześcijańskich centrów na Ukrainie. [przypis edytorski]

⁷³machorka — gatunek tytoniu. [przypis edytorski]

diabeł, ten szary kozioł, który chodzi po nocach do kobiet i dziewcząt... A czy jest na świecie coś bardziej przerażającego niż te jego odwiedziny w ciemnościach, w słotne noce z niemilknącymi głuchymi grzmotami i błyskawicami, rozświetlającymi ciemne ikony? I owa namiętność, owa pożądliwość, z jaką szeptał Nataszce ten włóczęga, także nie była zwykła ludzka — jakże więc można było jej się oprzeć? Myśląc o swej fatalnej godzinie niemożliwej do ominięcia, siedząc w nocy na ziemi na derce w korytarzu, wpatrując się w ciemność z bijącym sercem, przysłuchując się najmniejszemu trzaskowi i szmerowi w śpiącym domu, Natasza czuła już pierwsze napady owej ciężkiej choroby, która długo ją następnie męczyła. Zaczynała ją nagle swędzić stopa, przebiegał w niej ostry kłujący kurcz, gnący i zwijający palce ku podeszwie, a potem, dręcząc okrutnie, a jednocześnie rozkosznie skręcając żyły, szedł po nogach, po całym ciele aż do krtani... I przychodziła chwila, gdy brała chęć krzyknąć jeszcze przeraźliwiej, jeszcze rozkoszniej i z jeszcze większą męką niż krzyczała panienka...

Choroba

Wreszcie dokonano się, co było nieuniknione. Joszka przyszedł akurat w ową straszną noc pod koniec lata, w noc na Św. Ilję⁷⁴, władającego ogniem od pradawnych czasów. W noc tę ani nie uderzył piorun, ani Natasza nie zasnęła. Zdrzemnęła się i nagle ocknęła, jakby ją ktoś uderzył. Sercem bijącym jak oszalałe pojęła, że noc jest głęboka. Zerwała się, spojrzała w jeden koniec korytarza, w drugi: ze wszystkich stron rozbłyskiwały, rozjarzały się, migotały i oślepiały złote i bładoniebieskie błyskawice na milczącym niebie pełnym ognia i tajemnic. W przedpokoju robiło się co chwila widno, jak w dzień. Nataszka pobiegła i zatrzymała się jak wryta; dawno leżące na podwórzu za oknem polana osiki oślepiająco białe przy każdym mignięciu błyskawicy. Dziewczyna cicho wsunęła się do salonu — podniesiono tu jedno okno, słychać było jednostajny szum ogrodu, wśród ciemności tym jaskrawiej rozbłyskiwał ogień za wszystkimi szybami, a po nim mrok zalewał pokój, lecz w tejże chwili znowu niebo drgało i rozświetlało się to tu, to tam... Cały ogród migotał, rósł, drgał i na ogromnym złotym lub biało-fioletowym horyzoncie przeświecał koronkowymi wierzchołkami drzew oraz widmowymi zarysami bładozielonych brzóz i topoli.

Los, Strach, Kobieta, Burza

— Na morzu, na ocyjanie, na wyspie Bujanie... — zaszepiała Nataszka, rzucając się z powrotem i czując, że gubi się do reszty tymi czarodziejskimi zamawianiami — leży sęków pełno na nich skóra z szarą wełną...

I ledwo wyrzekła te pierwotne a groźne słowa, gdy odwróciwszy się, ujrzała Joszkę, stojącego z podniesionymi ramionami o dwa kroki od niej. Błyskawica oświeciła jego bladą twarz z czarnymi kręgami oczu. Niedosłyszalnie podbiegł ku niej, długimi rękami schwycił ją raptownie za stan i zdusiwszy, jednym rzutem cisnął zrazu na kolana, a potem na wznak, na zimną podłogę przedpokoju.... Następnej nocy Joszka do niej przyszedł znowu i przychodził jeszcze wiele razy, a ona, tracąc przytomność z przerażenia i wstrętu, pokornie mu się oddawała... Nawet myśleć nie śmiała ani o oporze, ani o szukaniu pomocy u państwa lub u czeladzi, tak samo jak panienka, która nie śmiała opierać się diabłu, gdy po nocach sycił się nią, tak samo, jak nie śmiała, podobno, opierać się nawet władczą i piękną babką swemu chłopu pańszczyźnianemu, Tkaczowi, zuchwałemu łajdakowi i złodziejowi, którego w końcu zesłano na Sybir⁷⁵ na osiedlenie... Wreszcie Joszce sprzykrzyła się Natalia, sprzykrzył mu się Suchydół i pewnego dnia znikł tak samo niespodzianie, jak się zjawił.

Przemoc, Strach, Kobieta

Po miesiącu Natalia poczuła, że będzie matką. A we wrześniu, nazajutrz po powrocie młodych panów z wojny, zapalił się suchodolski dwór i długo okropnie buchał płomieniami — sprawdził się więc również drugi sen Nataszy. Dom zapalił się o zmierzchu w czasie ulewnej deszczu, zapalił się od pioruna, od złotego kłębka, który, jak mówiła Sołoszka, wyskoczył z pieca w sypialni dziadka i toczył się podskakując po wszystkich pokojach. A Natalia, która zobaczywszy dym i ogień, co sił biegła z łaźni, gdzie całe dni i noce spędzała we łzach, opowiadała potem, że w ogrodzie napotkała kogoś odzianego w czerwony żupan i w wysoką kozacką czapkę z galonem⁷⁶; on również biegł co sił po mokrych krzewach i łopuchach... Czy było to rzeczywistością czy też jej się tylko zda-

Pożar

⁷⁴Ilja a. *Eliasz Klimowicz* (1864–1939) — przez zwolenników nazywany „prorok Ilja”, przywódca sekty religijnej; może też po prostu chodzić o odpowiednik rosyjski proroka biblijnego, Eliasza. [przypis edytorski]

⁷⁵Sybir — kraina geograficzna w północnej Azji, wchodząca w skład Rosji. [przypis edytorski]

⁷⁶galon — tu: ozdobna taśma materiałowa z dodatkiem metalowych nitek. [przypis edytorski]

wało — zaręczyć by nie mogła. Pewne jest tylko to, że nagle przerażenie uwolniło ją od przyszłego dziecka.

I od tej jesieni zaczęła wędnać. Życie jej poszło ową koleiną codzienności, z której już nie wyszło aż do samej śmierci. Ciocię Tonię zawieziono do świętych relikwii w Woroneżu⁷⁷. Diabeł nie śmiał już potem przybliżyć się do niej, toteż uspokoiła się, zaczęła żyć jak inni, a rozstrój umysłu i duszy ujawniał się tylko w blasku dzikich oczu, w skrajnej niechlujności, we wściekłym rozdrażnieniu oraz w niespokojnej tęsknocie podczas słoty. Na owej pielgrzymce była też z nią Natalia, która również osiągnęła po tej podróży spokój i wyjaśnienie wszystkiego tego, z czego — zdawało się — nie istniało wyjście. Jakże dygotała na samą myśl o spotkaniu z Piotrem Piotrowiczem! Choć przygotowywała się do tego, jednakże nie była w stanie spokojnie wyobrazić sobie tej chwili. A Joszka, a jej hańba, a zatracenie! Ale niezwykłość tej zatury, wyjątkowa głębia jej cierpienia, fatalność, która kryła się w jej nieszczęściu — przecież niedaremnie zdarzył się prawie jednocześnie pożar! — i pielgrzymka do świętego dała jej możliwość patrzenia spokojnie i prosto w oczy nie tylko otaczającym, ale nawet Piotrowi Piotrowiczowi. Sam Bóg swą niszczącą dłonią naznaczył je obydwie z panią — jakżeby mogły więc bać się ludzi! Wróciła z Woroneża do suchodolskiego domu niby mniszka, pokorna i prosta służka wszystkich, lekka i czysta jak po przyjęciu przedśmiertnych sakramentów, i śmiało pocałowała w rękę Piotra Piotrowicza. I tylko na chwilę serce w niej drgnęło młodzieńczo, tkliwie, po dziewczęcemu, gdy dotknęła ustami tej małej smagłej ręki z turkusowym pierścieniem...

Codziennosc zapanowała w Suchymdole. Nadchodziły wyraźne wieści o wolności i wywołały trwogę w cheladnej i we wsi. Co przyniesie przyszłość? Czy nie będzie gorzej? Łatwo to powiedzieć: „Zacniemy nowe życie!”. Nowe życie czekało również państwa, a oni przecież nawet starym żyć nie potrafili! Śmierć dziadka, wojna, kometa przyprowadzająca cały kraj o przerażenie, potem pożar, wieści o wolności — wszystko to szybko zmieniło twarze i dusze panów, pozbawiło ich młodości, niefrasobliwości, dawniejszej zapalczowości i lekkomyślności, a dało złość, nudę, przykrą kłótniwość. Zaczęły się „nieporozumienia”, jak mówił ojciec, doszło do harapów przy stole... Ubóstwo zaczęło przypominać o konieczności poprawienia w jakikolwiek sposób interesów zrujnowanych doszczętnie przez Krym, pożar i długi, a w gospodarstwie bracia tylko sobie wzajemnie przeszkadzali. Jeden z nich był bezsensownie chciwy, surowy i podejrzliwy, drugi — bezsensownie hojny, dobry i ufny. Porozumiawszy się jako tako, zdecydowali się na przedsięwzięcie mające im przynieść duży dochód: zastawili majątek i skupili około trzystu wychudzonych koni, zebrawszy je nieomal z całego powiatu przy pomocy jakiegoś Ilji Samsonowa, Cygana. Mieli zamiar podkarmić je, a na wiosnę sprzedać z zyskiem. Ale pochłonięszy ogromną ilość maki i słomy, prawie wszystkie, jeden po drugim, na wiosnę wyzdychały....

A pomiędzy braćmi rosła niezgoda. Niekiedy dochodziło do tego, że chwytały za noże i strzelby. Nie wiadomo, czym by się to wszystko skończyło, gdyby nowe nieszczęście nie zważyło się na Suchydół. Zimą, w cztery lata po powrocie z Krymu, Piotr Piotrowicz pojechał pewnego razu do Łuniewa, gdzie miał kochankę; spędził tam w chutorze dwie doby, przez cały czas pił i pojechał pijany do domu. Spadł duży śnieg. Do szerokich niskich sani wyłożonych dywanem zaprzężona była para koni. Piotr Piotrowicz kazał wyprząc jednego konia, młodego, gorącego, tonącego po brzuch w pulchnym śniegu, i przywiązać go do sań z tyłu; po czym, zwrócony do niego głową, położył się spać. Nadchodził mglisty siwy zmierzch. I Piotr Piotrowicz, zasypiając, krzyknął do Jewsieja Bodulii, którego często brał ze sobą zamiast stangreta Waśki Kozaka, w obawie, że Waśka go zabije (gdyż biciem pan ogromnie wzburzył przeciwko sobie cheladź) krzyknął więc: „Ruszał!” i uderzył Jewsieja nogą w plecy. Silny gniady koń dyszlowy, już mokry i dymiący, grając śledzioną poniósł ich po ciężkiej zaśniewionej drodze w mglistą dal głuchego pola na spotkanie gęstniejącej, chmurnej, zimowej nocy... A o północy, kiedy wszystko w Suchymdole spało jak martwe, do okna przedpokoju, gdzie nocowała Natalia, pośpiesznie i trwożnie ktoś zapukał. Zerwawszy się z ławki, wybiegła bosa na ganek. Przed gankiem niewyraźnie ciemniały konie, sanie i Jewsiej, stojący z batem w ręku.

Przemiana, Hańba,
Cierpienie, Pielgrzym,
Miłość niespełniona,
Przemijanie

Upadek

Śmierć, Koń

⁷⁷ Woroneż — miasto obwodowe w Rosji, nad rzeką Woroneż, ok. 500 km na południe od Moskwy. [przypis edytorski]

— Nieszczęście, dziewczyno, nieszczęście — zamamrotał głucho i jakoś dziwnie, niby we śnie. — Pana koń zabił... Przyprężny⁷⁸... Najechał, poślizgnął się i kopytem... Całą twarz rozwalił... Już nawet zaczął stygnąć... To nie ja, nie! Pan Jezus widzi... Nie ja!

Zbiegłszy w milczeniu z ganku, tonąc w śniegu bosymi stopami, Natalia podeszła do sań, przeżegnała się, upadła na kolana, objęła zlodowaciałą okrwawioną głowę i zaczęła ją całować, wrzeszcząc przy tym na cały folwark jakimś dziko-radosnym krzykiem, dławiąc się szlochem i śmiechem.

X

Gdy się zdarzało, że przyjeżdżaliśmy na odpoczynek do cichej i nędznej głuszy Suchegodołu, Natalia wciąż od nowa opowiadała o swym zmarnowanym życiu. I niekiedy oczy jej ciemniały, nieruchomiały, a głos przechodził w surowy śpiewny półszept. Przypominał mi się wtedy naiwny portret świętego, wiszący w kącie kredensowego w naszym starym domu. Święty przyszedł był do swych współobywateli, niosąc w rękach własną odrąbaną martwą głowę na dowód prawdziwości swego opowiadania...

Zginęły już i te nieliczne rzeczowe ślady przeszłości, które zastaliśmy niegdyś w Suchymdole; ani portretów, ani listów, ani nawet zwykłych przedmiotów codziennego użytku nie zostawili nam nasi ojcowie i dziadowie, a wszystko, co jeszcze się zachowało, zginęło w ogniu. Przez długi czas stał w przedpokoju jakiś kufer w strzępach zdrewniałej wyłysiałej fokowej skóry, którą go obszyto niemal sto lat temu: dziadkowy kufer o wysuwanych szufladkach z czeczotu⁷⁹, wypchany nadpalonymi francuskimi foliarami i cerkiewnymi książkami, nieprawdopodobnie wybrudzonymi i zakapanymi woskiem. Potem i on gdzieś znikł. Połamały się również i znikły ciężkie meble, które stały w salonie i w bawialni... Dom butwał i osiadał coraz bardziej. Wszystkie te długie lata, które przeszły nad nim od czasu ostatnich opowiedzianych tu zdarzeń, były dlań latami powolnego umierania... I przeszłość stawiała się coraz bardziej legendarna.

Mieszkańcy Suchegodołu wychowywali się wśród głuchego, ponurego życia, mającego jednakże pozory utrwalonego bytu, a nawet dostatku. Biorąc pod uwagę bezwład tego wegetowania, sądząc z przywiązania suchodolców do tego życia, można by było przypuszczać, że nie skończy się ono nigdy. Lecz owi potomkowie stepowych koczowników byli nieodporni, niezdolni do walk, słabi! I jak pod ostrzem sochy orzącej pole znikają bez śladu jeden za drugim kopczyki nad podziemnymi korytarzami i norami chomików — tak szybko i bez śladu znikają w naszych oczach gniazda suchodolskie. Mieszkańcy ich marnowali się, rozpraszały po świecie, a ci, którzy ocalili, jako tako przepędzali ostatki swych dni. I my zastaliśmy już nie byt, nie życie, lecz tylko wspomnienie o nich, na wpół dzikie, pospolite wegetowanie. Z biegiem lat coraz rzadziej odwiedzaliśmy nasz kraj stepowy i coraz bardziej obcy stawał się on dla nas, coraz słabiej czuliśmy więź z tamtejszym bytem i z warstwą społeczną, z której wyszliśmy. Wielu z naszych rodaków pochodzi z równie świetnych i starożytnych rodów jak nasz. Nazwiska nasze wspominane są w kronikach; przodkowie nasi byli stolnikami, wojewodami, „sławnymi mężami”, najbliższymi towarzyszami a nawet krewnymi carów. I gdyby nosili nazwę rycerzy, gdybyśmy się byli urodzili dalej na zachód, z jaką pewnością mówilibyśmy o nich, jakże długo jeszcze byśmy istnieli! Potomek rycerzy nie mógłby powiedzieć, że w przeciągu pół wieku znikł prawie doszczętnie z powierzchni ziemi cały ród, że tylu jego członków zdegenerowało się, zwariowało, odebrało sobie życie, rozpiło się, stoczyło w dół lub po prostu gdzieś się zagubiło! Nie mógłby się przyznać, jak przyznaję się ja, że nie ma najmniejszego pojęcia o rzeczywistym życiu nie tylko swych przodków, ale i pradziadów, i że z każdym dniem coraz trudniejsze się staje wyobrażenie sobie choćby tego, co się działo przed półwiekiem!

Miejsce, gdzie stał dawniej dwór w Łuniewie, od dawna zaorano i zasiano, jak zaorano i zasiano ziemię na miejscu wielu innych dworów. Suchydół jako tako jeszcze się trzymał. Ale wyrąbawszy ostatnie brzozy w ogrodzie i sprzedawszy po kawałku prawie całą orną ziemię, opuścił go nawet sam właściciel, syn Piotra Piotrowicza; został urzędnikiem i dostał posadę konduktora na kolei. W ciężkich warunkach dożywały swych lat ostatnich stare mieszkanki Suchegodołu: Kłasha Markowna, ciocia Tonia i Natalia. Po wiośnie

Portret

Dom, Upadek, Koniec świata

Przemijanie, Koniec świata

⁷⁸przyprężny — koń do zaprzęgu. [przypis edytorski]

⁷⁹czeczot — dekoracyjny rodzaj drewna z narośli na pniu. [przypis edytorski]

było lato, po nim — jesień i znów przychodziła zima, one zaś straciły już ich rachubę. Żyły wspomnieniami, snami, klótniami, troskami o chleb codzienny. Latem cała okolica, gdzie rozciągały się niegdyś posesje dworskie, tonęła w chłopskim życiu; dom wśród niego widoczny był z daleka. Zagajnik, który pozostał jako resztką ogrodu, tak zdziżał, że przepiórki nawoływały się tuż przy balkonie. Ale co tam lato! „Latem mamy raj!”, mówiły staruszki. Długie i ciężkie były jesienie w Suchymdole, a zimy zdarzały się bardzo śnieżne. Chłodno i głodno było w pustym walącym się domu. Zasypywały go zadymki, mroźny wiatr przenikał na wskroś. A palono bardzo rzadko. Wieczorami z okien pokoju pani, z jedynej izby, w której można było jeszcze mieszkać, słabo świeciła blaszana lampka. Pani — w okularach, półkożuszku i wojłokowych butach — robiła pończochę, nisko się nad nią pochylając. Natalia drzemała na zimnym przypiecku. A panienka, podobna do sibirskiego szamana, siedziała w swoim pokoju i paliła fajkę. Gdy ciocia akurat nie klóciła się z Kłasią Markowną, stawiała swą lampeczkę zamiast na parapecie okna — na stole; i ciocia Tonia siedziała w słabym półświecie, dochodzącym do wnętrza jej lodowato zimnej izby, zastawionej resztkami starych mebli, zawalonej czerepami potłuczonych naczyń, zagrodzonej fortepianem, leżącym na jednym boku. W izbie tej był taki mróz, że kury, o które ze wszystkich sił zabiegała i kłopotowała się ciocia Tonia, odmrażały sobie łapy, nocując na tych czerepach i resztkach...

A teraz suchodolski dwór pusty już jest zupełnie. Pomarli wszyscy, o których wspomniano w niniejszej kronice, wszyscy sąsiedzi i wszyscy rówieśnicy tych ludzi. Niekiedy przychodzi nawet myśl: czyż żyli oni niegdyś naprawdę?

Tylko na cmentarzach odczuć można, że tak było rzeczywiście; czuje się tu nawet jakąś niesamowitą bliskość z nimi. Ale i wówczas trzeba zrobić wysiłek, posiedzieć i pomyśleć nad grobem rodzinnym — jeżeli go w ogóle można odnaleźć. Wstyd mi, że muszę się przyznać — a jednak nie mogę ukryć tego faktu — że nie znamy mogił dziadka, babki i Piotra Piotrowicza. Wiemy tylko, że miejsce ich było przy ołtarzu stareńkiej cerkwi we wsi Czerkizowo. W zimie trudno się tam dostać: zasypany leżą po pas, a gdzieś tam sterczą z nich krzyże i wierzchołki nagich krzaków oraz pręty. Latem można tu dojechać rozpaloną, cichą, pustą drogą wiejską i przywiązać konia do płotu przy cerkwi, za którym stoi ciemnozielona ściana choinek prażących się w upale. Za otwartą tą furtką, za białą cerkwią z zardzewiałą kopułą widać cały gaj niewysokich rozgałęzionych wiązów, jesionów i klonów; wszędzie panuje cień i chłód. Długo chodzić można wśród krzewów po pagórkach i dołach, porośłych wątłą cmentarną trawą, po kamiennych płytach, prawie całkowicie zapadłych w ziemię i porośniętych od deszczów, a pokrytych czarnym drobnym mchem... Oto dwa, trzy żelazne pomniki. Ale czyje? Ze starości zrobiły się złotawo-zielone i nie można już na nich przeczytać napisów. Pod którym z tych pagórków spoczywają kości babki, dziadka? Bóg raczy wiedzieć! My wiemy tylko, że gdzieś tutaj, blisko. Siada więc człowiek, myśli, stara się wyobrazić sobie wszystkich tych zapomnianych Chruszczowów... I okres, w którym żyli, wydaje się wówczas bądź niezmiernie daleki, bądź zupełnie bliski. A wtedy można sobie powiedzieć z radością:

— To wcale nie tak trudno wyobrazić ich sobie! Trzeba tylko pamiętać, że ot, ten przechylony złocony krzyż, odznaczający się na błękitnym letnim niebie, był za ich czasów taki sam... Że tak samo żółciło się i dojrzewało żyto na polach pustych i upalnych, tutaj zaś panował cień i chłód, rosły krzaki... A wśród nich tak samo chodziła i pasła się, ot, taka sama stara, biała klacz z wyłysiałą zielonkawą grzywą i różowymi rozbitymi kopytami.

Cmentarz, Grób

Koń

1911.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/bunin-suchydol/>

Tekst opracowany na podstawie: Iwan Bunin, *Wieś*, tłum. Zofia Petersowa, Wydawnictwo J. Przeworskiego, Warszawa 1934.

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja zrealizowana w ramach biblioteki Wolne Lektury (wolnelektury.pl). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego. Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Wolne Lektury z egzemplarza pochodzącego z Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Elżbieta Sekuła.

ISBN 978-83-288-8335-2

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.